WZLOT SERAFICKI

KRAKÓW 1936

PT. Szanownych Czytelników

przepraszamy za przerwę w wydawnictwie spowodowaną zmianami, jakie zaszły w charakterze i składzie redakcyjnym pisma. Jednocześnie zawiadamiamy, że na usilne żądania ustala się prenumeratę. Łaskawi ofiarodawcy, którzy złożyli dotychczas pewną kwotę na „fundusz prasowy" będą otrzymywali „Wzlot" aż do wyczerpania. Zresztą wysyłać będziemy tylko na specjalne żądanie.

REDAKCJA

WZLOT SERAFICKI

Promieniał jako gwiazda jasna wśród ciemności nocy i jako poranek wschodzący ponad mroki
(5 Cel. Leg. I n. 37).

WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK — LISTOPAD

KRAKÓW

1936

Z OKAZJI PIĘTNASTOLECIA KOLEGIUM SERAFICKIEGO W ROZWADOWIE — NUMER NINIEJSZY JEST POŚWIĘCONY SPRAWOM SZKOLNICTWA I WYCHOWANIA ZAKONNEGO

NAKŁAD I WYDAWNICTWO OO. KAPUCYNÓW

POD ZNAK WIELKIEGO HEROLDA

NIEDAWNO zmarły, angielski entuzjasta „BIEDACZYNY" G. K. Chesterton pisał z okazji 700-lecia jego zgonu: „Franciszkanizm wywołał ogromne skutki międzynarodowe, które jeszcze się nie wyczerpały, i których wszystkie fazy i wszystkie strony zasługują na najściślejsze historyczne badania i najwyższe zajęcie".

ISTOTNIE, ten fakt historyczny, nie mający równego sobie na przestrzeni wieków, zjawisko niezwykłe, o olbrzymim zasięgu wpływów na wszystkich polach nowożytnej kultury, zawiera wprost niewyczerpane złoża motywów, zdolnych zainteresować nie tylko ze stanowiska religijnej ascezy, ale jako wiecznie żywy objaw potęgi ducha ludzkiego w walce o niezniszczalne wartości. Na tle współczesnych moralno społecznych przesileń, na podłożu do maximum napiętych antagonizmów klasowych, ideologia, zawarta w haśle franciszkańskim „POKÓJ I DOBRO", może i powinna odżyć w całej żywiołowej mocy. Nie chodzi tu o czułostkowe egzaltowanie się dla znanych od wieków zasad, które są zresztą dosłownym powtórzeniem Ewangelii. Trzeba tylko tę nigdy nie starzejącą się mądrość Bożą, wprowadzoną w czyn przez Św. Franciszka, rzucać na wartką falę życia współczesnego, konfrontować z groźbą rzeczywistości, szukać w niej rozwiązań dla wyłaniających się wciąż nowych problemów.

ŻE TAKIE nastawienie jest możliwe i owocne, świadczą o tym wyniki, osiągnięte dotychczas na zachodzie. Watykańska Wystawa Prasy Katolickiej dała naoczny dowód, że czasopiśmiennictwo franciszkańskie zdobyło nie tylko znaczną rozpiętość liczebną, ale i co do formalno treściowej wartości stanęło na odpowiednio wysokim

poziomie. Obok szeroko rozprzestrzenionej prasy popularnej widziano tam dobrze redagowane wydawnictwa, mogące zaspokoić przeciętne potrzeby nawet więcej wymagających czytelników.

JEŚLI jednak da się to powiedzieć o prasie zagranicznej, to u nas stan jest pod tym względem naprawdę smutny. I tu także prawdziwe jest to aż do znudzenia powtarzane zdanie, że w wyścigu kulturalnym narodów wleczemy się czasem na samym końcu, jak dychawiczna szkapa. Podczas gdy bezwyznaniowa, albo wprost żydowsko-komunistyczna prasa mnoży się prawie z każdym dniem, to pisma katolickiego o duchu franciszkańskim, które by mogło stanąć godnie obok podobnych periodyków zagranicznych, nie mamy dotychczas wcale. Nie można przecież za takie uważać tych kilku istniejących wydawnictw popularnych, których poziom odpowiadający szerokim masom, wiele pozostawia do życzenia w stosunku do współczesnych wymagań średnio wykształconego ogółu.

NIE SĄDZĘ, żeby ten mało pocieszający stan był dowodem braku zainteresowania się u nas postacią i dziełem „Poverella". Przeciwnie, w naszej literaturze periodycznej z ostatnich lat można by znaleźć wiele cennych perełek prawdziwie chestertonowskiego kultu dla Wielkiego Patriarchy. Kto wie, czy gdyby te rozproszone promienie „zestrzelić w jedno ognisko", nie udałoby się i u nas dokonać tego, co w innych krajach stało się już od dawna: STWORZYĆ ORGAN CZCICIELI ŚW. BIEDACZKA, GDZIE POD WSPÓLNYM SZTANDAREM PRACOWALIBY LUDZIE RÓŻNEGO POKROJU I ZAINTERESOWAŃ, ZŁĄCZENI TYLKO PODZIWEM DLA TEJ WIELKIEJ POSTACI DZIEJOWEJ, KTÓRĄ NAZWANO „DRUGIM CHRYSTUSEM". Może by wtedy hieratyczna postać św. Męża nabrała nowego blasku i rozbłysła na nowo, jak na witrażach u franciszkanów, kiedy je prześwietli słońce.

PISMO NASZE nie rości sobie pretensji do podjęcia tak wzniosłej roli. Siłą faktu musi omawiać przede wszystkim sprawy, bezpośrednio związane z naszym życiem zakonnym; niemniej jednak nie

zacieśniając zbytnio swych ram, otwiera je szeroko dla wszystkich objawów kultury franciszkańskiej w jej licznych rozgałęzieniach. SZERZYĆ kult franciszkanizmu, pojętego w najogólniejszym znaczeniu, jako splot różnorodnych zagadnień, przenikniętych duchem i myślą seraficką; wskrzeszać i wydobywać z zapomnienia nasze dawne i niedawne dzieje; w stałym kontakcie z zagranicą, śledzić udział myśli franciszkańskiej w prądach życia współczesnego — oto kierunek naszych najbliższych dążeń. W jakim tempie przebywać będzie „W z l o t" tę jasno określoną trasę, zależeć będzie nie tylko od warunków materialnych, ale więcej jeszcze — przy błogosławieństwie Bożym — od naszych wspólnych wysiłków, podjętych dla wspólnego dobra. „Wzlot" wszystkim chce służyć, ale też wszyscy, którzy w duchu św. Patriarchy z Asyżu widzą potęgę, zdolną odrodzić świat, winni przypinać mu skrzydła. WYSYŁAJĄC w świat nowy numer naszego pisma, pragniemy wprzągnąć wysiłek jaknajwięcej ludzi dobrej woli w rydwan serafickich wzlotów, który od wieków prowadzi HEROLD WIELKIEGO KRÓLA.

R E D A K C J A

KOLEGIA SERAFICKIE WCZORAJ I DZIŚ

ZNACZNY odcinek na froncie współczesnych zainteresowań zajęła młodzież. Sprawa wychowania, ważka już przez sam ciężar gatunkowy tkwiących w niej zagadnień, w obliczu dzisiejszych przemian kulturalno społecznych nabrała niezwykłej doniosłości. Ferment, wrzucony w „narodową kadź" przez nową reformę szkolną, zmusił do wypowiedzenia się nie tylko ostre pióra partyjnych publicystów ale i szerokie koła sfer pedagogicznych. Analizować meritum czy demeritum tych polemik, wyrokować o słuszności tego czy innego stanowiska, które, począwszy od skrajnych zwolenników reformy, budujących na „Zrębie" nowych programów najśmielsze nadzieje, a skończywszy na smutnych zapowiedziach „tragedii polskiego szkolnictwa",[1]) przybierają rozmaite odcienie, byłoby jeszcze przedwcześnie.

Nasuwa się jednakże pytanie, jak do nowych programów mają się ustosunkować duchowne zakłady wychowawcze? Jakkolwiek bowiem instytucje te w zasadzie są wolne od bezpośredniej ingerencji państwa — to jednak — wspierają się one o tę samą podbudowę szkoły powszechnej, co i zakłady państwowe, a ponadto powinny zapewnić wychowankom możność dalszego kształcenia się w razie opuszczenia seminarium, — muszą więc zachować w swym systemie pewną równoległość z ustrojem szkolnictwa państwowego.

Na Zjeździe Teologicznym w Wilnie w r. 1933 rozpatrywano tę sprawę w odniesieniu do seminariów mniejszych świeckich. Odpowiednio do potrzeb różnych diecezyj wysunięto dwie możliwości: albo prowadzić gimnazjum i liceum, czyli 6-letnie seminarium mniejsze, albo tylko liceum z kursem dwuletnim. Przy czym w drugim wypadku, program naukowy nie może zbytnio

[1]) Głos 19 lipca.

odbiegać od programu liceum świeckiego i powinien być zatwierdzony przez państwowe władze świeckie.[2])

Ciekawszą jeszcze niż te wnioski wysnute z referatu była dyskusja, jaka się wywiązała na odnośny temat.

Wychodząc z założenia, że 6-letnie studia gimnazjalne wystarczają pod względem wykształcenia, a wychowanie w nich jest naogół biorąc także zadowalające, zakwestionowano wprost potrzebę seminariów mniejszych. „Nauka religii jest wystarczająca oraz wpływ ks. prefekta zagwarantowany, by sposobić powołania. Nie potrafimy się zdobyć na szkoły, prowadzone wzorowo, na wysokim poziomie utrzymane. Przez napływ powołań z gimnazjów państwowych utrzymuje się łatwiej łączność między duchowieństwem a inteligencją świecką.

Wniosek ostateczny: „Polska seminariów mniejszych ze studiami gimnazjalnymi nie potrzebuje[3]).

Choć takie zastrzeżenia podnosiły się tylko ze strony jednostek, warto się zastanowić, czy, i w jakiej mierze stosują się one także do seminariów zakonnych, a w szczególności do kolegiów serafickich. Sprawę tę nie łatwo rozstrzygnąć odrazu. Odpowiedź musi się oprzeć na przesłankach, wysnutych z specyficznego charakteru uczelni franciszkańskich, ich istoty i przeznaczenia.

1

Franciszkańskie zakłady naukowo wychowawcze, dla których ostatecznie ustaliła się nazwa kolegiów serafickich[4]), są wytworem czasów stosunkowo niedawnych. Początek ich nie cofa się poza lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku. Wyrosły jednak na gruncie od dawna przygotowanym i pod tym względem można mówić o ich, daleko w głąb sięgającej historii.

Nie ulega wątpliwości, że kiedy Patriarcha Seraficki gromadził około siebie pierwszych naśladowców, proces formowania tych nowych kadr bożych zapaleńców był bez porównania mniej skomplikowany niż obecnie. Wszystko szło tam trybem ewangelicznej prostoty. Nie było żadnych ustalonych warunków

---

[2]) por. Pamiętnik Siódmego Zjazdu str. 35.

[3]) tamże.

[4]) O wahaniu się tej nazwy por. P. Melchior de Pobladura O. M. Cap. Los Colegios Seraficos en la Orden de Menores Capuchinos. Madrid 1936.

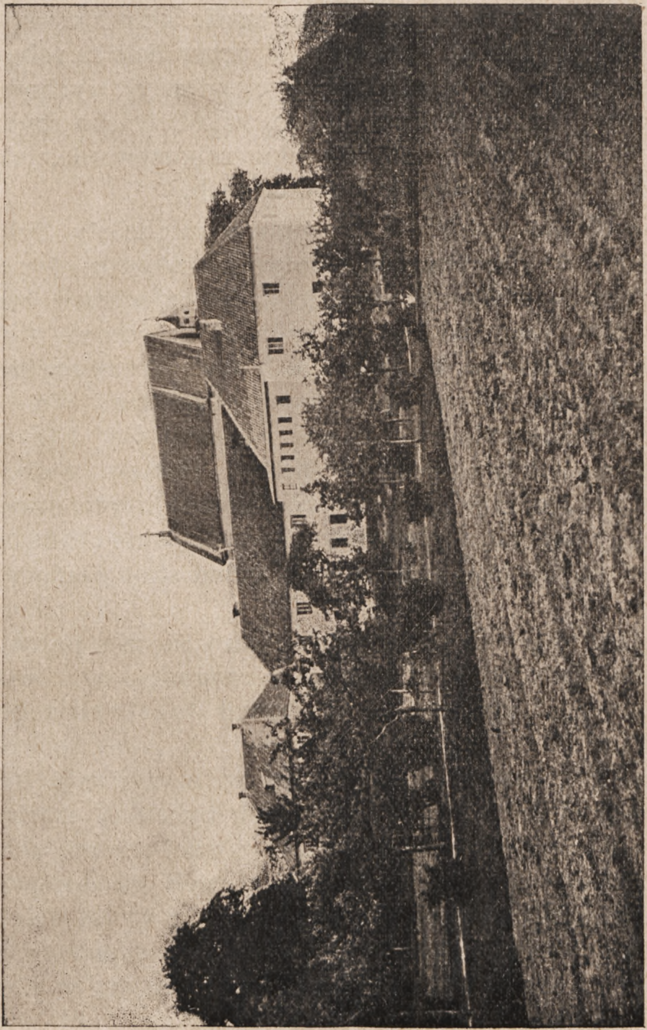
przyjęcia ani przepisów normujących wiek czy stopień wykształcenia kandydatów. Żadna z trzech reguł franciszkańskich nie wspomina ani słowem o potrzebie ich intelektualnego przygotowania. Nie świadczy to bynajmniej na korzyść tych uczonych, którzy twierdzą, że „Św. Franciszek w entuzjaźmie swego obcowania z Bogiem i naturą gardził nauką książkową i starą klasyczną tradycją literacką". Syn bogatego Bernadone, wychowany w dostatnim domu mieszczańskim, nawet kiedy ukochał prostotę, nie stał się wrogim nauce prostakiem. Są to dwa różne pojęcia, nie zawsze idące z sobą w parze. Teksty Reguły, które mogłyby nasunąć pewne wątpliwości, jak n. p. trochę obco dla dzisiejszego ucha brzmiący zakaz, „aby nie posiadający nauk nie starali się o ich nabycie", nie mówią nic ponadto, że w mury klasztorne mają wstępować ludzie, już życiowo uformowani, szukający w nich nie innej nauki, jak tylko świętej wiedzy Krzyża.

Istotnie, przez szereg lat nie spotykamy w Zakonie innych kapłanów, poza tymi, którzy studia teologiczne odbyli przed obłóczynami. Stan ten zmienił się jeszcze za życia św. Patriarchy, kiedy na jego zlecenie zaczął wykładać teologię w Bolonii Św. Antoni. O innych studiach, a tym mniej o przyjmowaniu i wychowywaniu młodzieży, nie było mowy jeszcze przez długi czas. Konstytucje Narboneńskie z r. 1260 określiły, że można przyjmować kandydatów dopiero po skończonych 18 latach życia, a więc po upływie czasu najstosowniejszego na kształcenie.

* * *

Są jednak ślady, że zarówno przed tą datą, jak i po niej, w wyjątkowych wypadkach przyjmowano do klasztorów także małoletnich. Takim był belgijczyk Achaz z Thorouth, cudowne dziecko, które w piątym roku życia obleczone w habit, przeżyło w nim zaledwie dwa lata; takim też Jan z Oliwy, przyjęty jako 12-letni chłopak; a przede wszystkim Św. Bonawentura, który z wdzięczności za cudowne uzdrowienie ofiarowany przez rodziców Bogu, wstąpił do zakonu w wieku dziecięcym. Tego rodzaju wyjątki, mnożąc się stopniowo, utworzyły z czasem w łonie Zakonu instytucję, mającą w przyszłości zrobić wyłom w dotychczasowej praktyce i stać się zawiązkiem późniejszych szkół.

Była to instytucja t. z. o b l a t ó w. Nazwą tą, która potem przybrała zupełnie inne znaczenie, oznaczano wtedy chłopców, odda-



KOLEGIUM SERAFICKIE W ROZWADOWIE

nych przez pobożnych rodziców na wychowanie do klasztoru, w tym celu, aby od dzieciństwa wzrastając w atmosferze zakonnej, przywykali do życia według twardej reguły. Statuty Liońskie z roku 1325, które ustalając wiek kandydatów na lat 14, zaznaczają wyraźnie, że nie odnosi się to do „dzieci ofiarowanych przez rodziców", świadczyłyby, że już w tym czasie oblaci stanowili w Zakonie poważny element. Pociągało to oczywiście za sobą konieczność rozbudzenia się w klasztorach tendencyj wychowawczych. Że jednak na powstanie formalnych szkół trzeba było czekać jeszcze wieki, powodem stało się silne zahamowanie, jakiego doznały te dążenia już w samych początkach.

Mimo że pielęgnowanie powołań u młodzieży było gorąco polecane już przez pierwszych założycieli zakonów, św. Augustyna, Grzegorza a zwłaszcza Bazylego, który w swej regule dał, po dziś dzień wartościowe wskazówki dotyczące wychowania przyszłych zakonników, to jednak w kołach obserwanckich, oblaci spotkali się z poważnym sprzeciwem. Obawiano się, że mogą wprowadzić do klasztorów pewne rozluźnienie. Nie wchodząc w głębsze powody opozycji, trzeba jednak stwierdzić, że musiała ona mieć silne poparcie w sferach kierowniczych, jeśli, inspirowane przez nią Konstytucje Martyniańskie (1340), zabroniły przyjmować do Zakonu kogokolwiek, przed skończeniem 14 roku życia.

Jednakże ten akt prawny nie tylko że nie położył kresu sporom, ale jeszcze bardziej sprawę zaognił, a w konsekwencji, łącznie z innymi czynnikami, doprowadził do ostatecznego rozłamu w Zakonie.

Podczas gdy bowiem obserwanci rozporządzenie konstytucji ściśle zachowywali, dla konwentualnych była ona martwą literą. Nie zważając na ostre ataki z przeciwnej strony, nadal przyjmowali oblatów i od młodości przyzwyczajali ich do życia zakonnego. Jak wielką zaś wagę przywiązywali do kształcenia i wychowywania młodzieży, świadczą konstytucje zaaprobowane przez Aleksandra VI, gdzie żąda się kategorycznie, aby w każdej prowincji był konwent przeznaczony na kształcenie oblatów *„tam in litteris quam in cantu et officiis celebrandis"*.

Zresztą i poza konwentualnymi ograniczenia martyniańskie uważano za nieznośny ciężar, i pod różnymi pozorami usiłowano się spod nich wyłamać. Dający się coraz bardziej odczuwać brak

powołań kazał szukać sposobów oddziaływania na młodzież, w najbardziej podatnym na wpływy wieku dziecięcym. Małych chłopców brano do usług, wciągano do chórów kościelnych, próbowano wszelkich sposobów nawiązania kontaktu z młodym pokoleniem. Na ten akt samoobrony przed wygaśnięciem nie pomogły żadne zakazy — nawet dekret z r. 1675 piętnujący tego rodzaju postępowanie, jako „fraus legis".

Mimo to zarówno Konstytucje Martyniańskie jak i powyższy dekret Kongregacji dla Zakonników otamował mocno ruch pedagiczny w Zakonie i o całe wieki opóźnił powstanie w nim szkół.

* * *

Zrodzona w r. 1525 reforma kapucyńska stanęła zdecydowanie po stronie istniejących praw. Wynikało to z jej dążeń do odnowienia nawet w drobnych szczegółach prostoty pierwszych lat zakonu Św. Franciszka. Rozporządzenia z r. 1637 zakazują pod ciężkimi karami przyjmować oblatów, chyba tylko w wyjątkowych razach i to jedynie na czas pracy. Konstytucje z Albacino zabroniły kategorycznie przyjmować kandydatów poniżej lat 15, wkrótce zaś potem — w latach 1535 i 1555 — ustalono ten wiek na lat 16 z dodatkiem, że nie mogą być przyjęci chłopcy nawet starsi, jeśli mają wygląd dziecinny. W r. 1557 podniesiono ilość lat wymaganych do 17.

Był to nawrót do praktyk Zakonu z pierwszej fazy jego istnienia. Że tego rodzaju postępowanie było możliwe, zawdzięczał to ogromnej liczbie powołań, których nigdy nie brakło aż do wielkich klęsk na początku XIX wieku. Aż do tego czasu zgłaszało się co roku tylu młodzieńców — przeważnie już przygotowanych do studiów teologicznych — że zwykle przyjmowano z nich zaledwie czwartą część. Odpadała więc troska o przysposobienie umysłowe kandydatów i można było ograniczyć się tylko do zakładania szkół wewnętrznych dla kleryków profesów, w których by uzupełniali swe ogólne wykształcenie potrzebne do studiów filozoficznych i teologicznych.

2.

Te spokojne czasy uległy zupełnej zmianie, kiedy z końcem XVIII w. wraz z rewolucją francuską powiały prądy nieprzyjazne

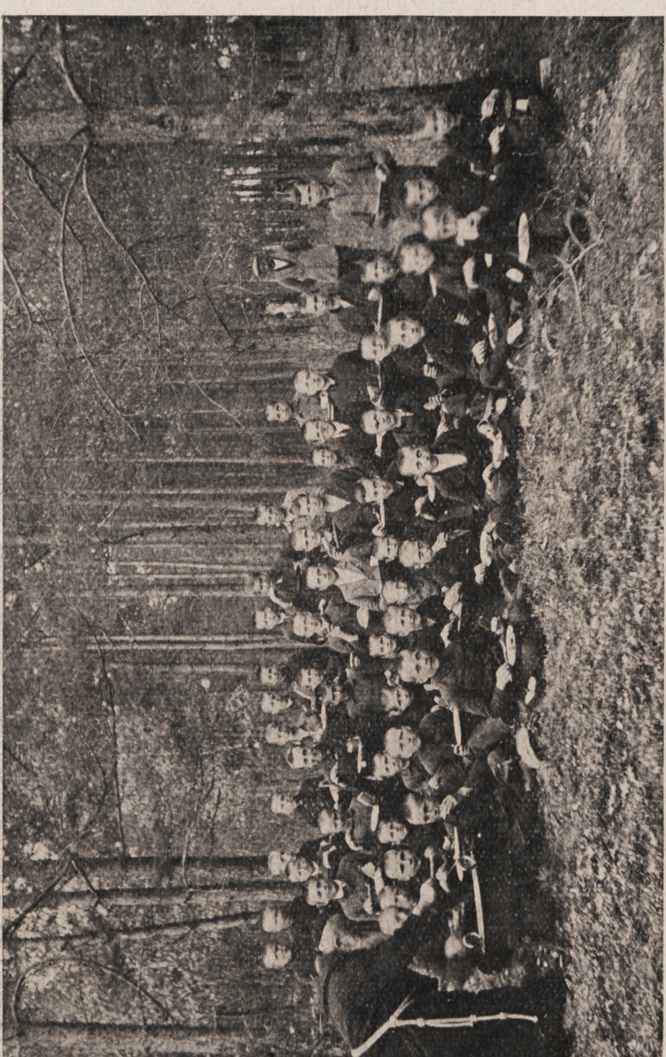
Kościołowi i religii. Przykład dzisiejszej Hiszpanii, odstraszającej rumowiskiem spalonych kościołów i setkami mordowanych zakonników poucza najlepiej, jak w czasach buntu przeciw Bogu i Kościołowi cierpi życie zakonne. Nienawiść wrogów Krzyża kieruje się najwięcej przeciw najgorliwszym jego wyznawcom; tak jest dziś w zbroczonym krwią, do niedawna arcykatolickim kraju, tak było i we Francji w czasie rewolucji.

Poprzedzona zgubnymi hasłami Woltera i Rousseau'a rewolta wzbudziła całą falangę liberalnych i wolnomyślicielskich sekt, które z diabelską iście perfidią paraliżowały życie zakonne, zajmując klasztory i rozpędzając ich mieszkańców.

I pod jarzmem Napoleona nie działo się lepiej. W latach 1802-1810 Prowincje: francuska, włoska, niemiecka, jedna po drugiej uległy sekularyzacji; w r. 1834 wybuchło w Hiszpanii dawno już przygotowywane prześladowanie; Włochy ucierpiały srodze w latach 1855,-60,-66 i-73; w Polsce, zgniecenie ruchów powstańczych, w których kapucyni brali czynny udział, stało się początkiem półwiekowych represji dążących do zupełnego wytępienia Zakonu. Kiedy minął wreszcie huragan i nastał spokój, ukazał się widok straszny. Wszędzie ruina, zniszczenie, śmierć. Z kwitnącego dawniej życia pozostały tylko żałosne ślady. Klasztory stanęły prawie pustką, a przed garstką rozbitków, którzy zdołali ujść zagłady, zjawiło się pytanie: co dalej będzie? Jak rozniecić na nowo sprofanowane ogniska życia zakonnego, żeby nie zamarło do reszty? W jaki sposób zapełnić na nowo te puste przestrzenie, gdzie się przechadzają tylko cienie lepszej przeszłości?

Wtedy to zjawiła się myśl o własnych szkołach. Zrozumiano, że jeśli u starszych ludzi, zarażonych chorobą wieku, trudno doszukać się powołań, to drzemią one w duszyczkach młodych, nieskalanych jeszcze zetknięciem ze światem. Trzeba je pielęgnować, rozbudzać i podtrzymywać, jak młode roślinki chronić przed mroźnym tchnieniem złych wpływów.

14 lipca 1869 r., jak jutrzenka lepszych czasów, zjawiło się we Włoszech pierwsze kolegium serafickie. Założył je reformat O. Andrzej Bindi pod auspicjami Generała Zakonu O. Bernarda z Portogruaro. To wielkie dzieło, zaczynające nową epokę w dziejach zakonów franciszkańskich, miało początek nader skromny — prawdziwie franciszkański.



NA WYWCZASACH

O. Andrzej od dawna nosił się z chęcią bezpośredniego zbliżenia do młodzieży, w celu wyrabiania u niej powołań. Ale jak długo trwały zamieszki i prześladowania, to jego pragnienie było niewykonalną mrzonką. Dopiero kiedy w r. 1869 nastąpił względny spokój, gorliwy apostoł młodzieży zabrał się do dzieła. Otrzymawszy pozwolenie O. Generała, na początek wynajął na 9 miesięcy skromny domek, gdzie umieścił pierwszych trzech wychowanków. Sam był ich nauczycielem, opiekunem i ojcem. Dzielił się z nimi ostatnim kawałkiem chleba, wspólnie znosił trudy i niedostatki. Kiedy po upływie umówionego czasu nie mógł uiścić zapłaty za mieszkanie, znalazł się ze swą małą gromadką na bruku i musiał szukać innego przytułku. Wreszcie po różnych doświadczeniach otrzymał na swą siedzibę klasztor w Galceti (Monteferrato); tu też została założona pierwsza szkoła seraficka. Ta nowa placówka wychowawcza daleką była od doskonałości. Nie miała jeszcze ustalonego programu, brak było odpowiednich nauczycieli, urządzeń, środków utrzymania. Ale początek został zrobiony i przykład pociągnął innych. Upłynęło zaledwie kilka lat, a już jak z pod ziemi zaczęły wyrastać franciszkańskie centra wychowawcze w rozmaitych prowincjach Europy i Ameryki i to nie tylko w zakonie minorytów, gdzie miały początek, ale i we wszystkich innych odłamach.

3

Zakon kapucynów nie dał się pod tym względem prześcignąć nikomu. Prawie równocześnie z kolegium w Galceti, powstaje fundacja w Prowincji toskańskiej (1870). Śladem jej idą niebawem Sabaudia i Pensylwania (1874), Tolosa i Lyon (1876) Wenecja, Genewa i Prowincja szwajcarska (1879); a potem już co roku prawie przybywają nowe w rozmaitych krajach obu kontynentów Europy i Ameryki. Dokonywało się to zaś w tak szybkim tempie, że już w pierwszym, zaledwie czternastoletnim okresie (1870 — 1884) na 30 prowincji, z jakich składał się wówczas Zakon, 20 posiadało już własne uczelnie.

Po tym początkowym okresie ekspansji liczebnej, musiała przyjść faza skonsolidowania wewnętrznego i oparcia nowej instytucji na mocnych podstawach.

Było naprawdę dziełem Opatrzności, że na czele Zakonu stanął w tym czasie mąż wybitnych zdolności, doskonały peda-

gog, który tym zadaniom sprostał w sposób w najwyższym stopniu zadowalający. O. Bernard z Andermatt (1884 — 1908), którego „Instrukcje dla szkół serafickich“ wydane w r. 1893 są czemś w rodzaju „Magna Charta“ kolegiów kapucyńskich, mógłby być pod niejednym względem wzorem dla wychowawców nie tylko zakonnych. Jego dyrektywy oparte na głębokiej znajomości psychiki młodzieży i przepełnione miłością dla wieku dziecięcego, dziś jeszcze nie straciły na wartości.

Zasadniczą wytyczną programu była dążność do odseparowania wychowanków od współżycia z konwentem. Pierwsi założyciele szkół serafickich nie zajęli co do tego zdecydowanej postawy. Konwiktorzy byli częstokroć od samego początku wdrażani w tajniki życia zakonnego, brali udział we wspólnych modlitwach, chodzili w odzieniu osób duchownych. Oczywiście cierpiała na tym nauka i normalny rozwój wychowanków. Jedenastoletnie dziecko, obarczone obowiązkami poważnych zakonników było narażone na przedwczesne starzenie się i spaczenie młodego charakteru.

Aby uniknąć tych niebezpieczeństw, żąda O. Bernard dla wychowanków możliwie wielkiej swobody i wyrozumiałości. — Wprawdzie należy w młodych serduszkach rozbudzać chęć do życia zakonnego, trzeba przyzwyczajać młodzież do praktyk pobożnych, ukazywać jej piękno cnoty a złość grzechu, ale wszystko to musi się odbywać w tempie spokojnym, bez wytężenia, z ojcowską wyrozumiałością dla wieku dziecięcego i jego potrzeb.

„Dzieci są niezdolne do ciągłej pracy myślowej; wielkim błędem więc byłoby zmuszać je do praktyk życia wspólnego zwłaszcza do odmawiania Officium Divinum“.

Należy dawać chłopcom solidne wychowanie chrześcijańskie, które byłoby dla nich użytecznym nawet w razie powrotu do domów. Mijałoby się jednak z celem poddawać ich karności nowicjackiej.

Życie dzieci jest to prawdziwy poemat o nieoczekiwanych zwrotach i nieregularnym rytmie. Nie trzeba sprzeciwiać się tym naturalnym tendencjom. Należy uwzględnić u dzieci ciągłą potrzebę ruchu i ćwiczenia głosu.

Wysiłek rujnuje w dziecku zdolności. Życie w kolegium powinno być dalszym ciągiem życia rodzinnego. Dyrektorzy spełniają

rolę matek. Mają dokładać wszelkich starań, aby dzieci były zawsze wesołe i zadowolone, czuwać nad ich zdrowiem i rozwojem fizycznym zarówno jak duchowym.

Jak widać z tych pobieżnie przytoczonych punktów, zasady wychowawcze w kolegiach zostały oparte na gruncie zdrowej pedagogii, pojętej w duchu chrześcijańskiej miłości i dzisiejszej znajomości dziecka.

* * *

Program naukowy dał szkołom serafickim drugi z rzędu następca O. Bernarda z Andermatt, O. Wenanty z Lisle en Rigault w piśmie „O Szkołach Serafickich" (1918). Jest to po dziś dzień obowiązujący kodeks uczelni kapucyńskich.

Ustalono tam zasadę, zgodną zresztą ze wskazaniami Rzymu, że w planie nauki należy trzymać się zasadniczo programów państwowych. Odpowiednio jednak do specjalnych celów nauczania, wprowadzono pewne stałe normy, niezależne od zmian w szkolnictwie świeckim.

Obok języka ojczystego pierwsze miejsce zajmuje język i kultura klasyczna; jest to niezbędna podstawa dla studiów filozoficzno-teologicznych, gdzie językiem wykładowym jest łacina.

W historii należy podkreślać w szczególny sposób momenty franciszkańskie. Nauka geografii i przyrody nie ma się ograniczać do czczej nomenklatury, ale ma być środkiem, budzącym podziw dla dzieł Stwórcy.

Trzeba też pielęgnować znajomość języków obcych odpowiednio do warunków kraju.

Szczególną uwagę zwraca program na naukę śpiewu, niezbędną dla przyszłych sług ołtarza.

Uwagi metodyczne podane przez O. Wenantego nie różnią się od najświeższych wymagań współczesnej szkoły. Uczeń nie może zachowywać się tylko biernie. Jego ustosunkowanie do przedmiotu musi być aktywne, oparte na współpracy z nauczycielem i szczerym zainteresowaniu się przedmiotem. Szczególny nacisk kładzie się na wypracowania pisemne. Zaleca się przestrzeganie zasady jednolitości — w metodzie, sposobie wpływania na uczniów, systemie klasowym.

Jest to wszystko dowodem, że zaraz z początku nauczanie w kolegiach usiłowano postawić na poziomie wymagań współczesnego szkolnictwa.

To samo da się powiedzieć i o fizycznej stronie wychowania. Uwzględnia się więcej niż dawniej potrzebę ćwiczeń cielesnych i sportu; w urządzeniach przestrzega się wszelkich wymogów higieny. Słowem, kolegia nie mają nic wspólnego z dawną szkołą klasztorną, trącącą Alwarem i zawiędłą retoryką. Wieje w nich świeży duch nowego ustosunkowania się do zagadnień wychowawczych, uwzględniający nie tylko rozwój władz umysłowych, ale — całego człowieka.

* * *

I tu już przechodzimy do poruszonych na wstępie wątpliwości.

Przede wszystkim odpada jedna trudność. Nic nie stoi na przeszkodzie, by szkoły serafickie nie ustępowały pod żadnym względem nauczaniu państwowemu. Prawda, że w praktyce trudności istnieją: brak funduszów, wyszkolonych nauczycieli, niedostatek odpowiednich urządzeń; ale te braki dadzą się usunąć i niejednokrotnie w istocie zostały zupełnie przezwyciężone.

Wystarczy zwiedzić jeden z tych nowocześnie urządzonych zakładów — w szwajcarskim Stans czy w bawarskim Burghausen, hiszpańskie El Pardo, lub jedno z kolegiów amerykańskich, by się przekonać, że jest w nich wszystko, co dają młodzieży dzisiejsze szkoły państwowe.

Ale jest w nich ponadto coś, czego państwowe szkoły nie dają i dać nie mogą. Cokolwiek możnaby powiedzieć na korzyść dzisiejszego szkolnictwa, trudno zaprzeczyć, że nie sprzyja ono rozwojowi powołania. Nawet jeśli nauczyciel nie jest wrogo usposobiony do Kościoła i religii, wiele czynników składa się na to, że wpływ szkoły jest tylko hamujący. Dziecko otacza atmosfera obojętności religijnej i moralnej, która nabiera niekiedy wprost posmaku cynizmu[5]). Koledzy, wychowani w domach niereligijnych, odgrywają czasem rolę najgorszych doradców. Biada temu, kto się zdradzi, że chce zostać kapłanem a tym bardziej zakonnikiem. Wyszydzą go, wyśmieją, będą uważać za zacofańca i niedołęgę.

---

[5]) **Przykłady przytacza L. Skoczylas: Szkoła polska na rozdrożu. Warszawa b. d.**

Prawda, że w takim ogniu najlepiej hartują się powołania, ale ile z nich ginie w tej próbie bezpowrotnie? Ewangeliczna przestroga o perłach rzucanych przed wieprze i tu ma zastosowanie.

* * *

Jakże inny duch panuje w kolegiach. Wszystko tu zmierza do jednego jasno wykreślonego celu. Od rannego przebudzenia aż do wieczornego spoczynku, w pracy szkolnej i na modlitwie, w chwilach rozrywki, w samotnej zadumie i w gwarnych rozmowach z kolegami wszędzie i zawsze przewija się jeden motyw: służyć Bogu. Powoli i łagodnie, ale nieustannie i konsekwentnie wwiera się w młode dusze znamię franciszkańskie: „Bóg mój i wszystko".

Można by zarzucić, że taka jednokierunkowość wpływa ujemnie na prawidłowy rozwój młodego charakteru. Dziecko, wychowane w zamknięciu klasztornym bez zetknięcia się z realnym życiem, jest jak roślinka wzrastająca pod kloszem, którą potem lada silniejszy powiew może zmrozić i złamać. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że zamknięcie, w jakim wzrastają chłopcy w kolegiach, nie jest wcale hermetyczne. Wychowanie nie ma tu nic z jednostronności. Przygotowuje ono nie tylko do kontemplacji, ale do życia czynnego na gruncie realnym.

Chłopców zapoznaje się stopniowo ze wszystkim, co im będzie potrzebne w przyszłym życiu, zapewnia im się normalny rozwój fizyczny i duchowy a przy tym pozostawia się zupełną swobodę wyboru stanu.

* * *

Ostateczny wynik naszych rozważań jest jasny:

Szkoły serafickie, powstałe jako wyraz samoobrony przed wyjałowieniem zakonów, są wobec współczesnych warunków kulturalno społecznych taką samą koniecznością, jaką były w chwili powstania. Nie może ich zastąpić szkoła świecka, której celem jest jedynie „wychowywanie i kształcenie młodzieży na świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli Rzeczypospolitej" [6]) ani często szwankujące wychowanie domowe. Są one mocną twierdzą franciszkanizmu, warunkiem jego „być albo nie być".

Z tego stanowiska zrozumiałą jest troskliwość, jaką władze

[6]) Program Gimnazjum.



W ZACISZU KLASZTORNYM

zakonne otaczają te swoje cenne placówki. Dziś nie ma prowincji franciszkańskiej, którаby nie posiadała przynajmniej jednego kolegium. Sam Zakon kapucynów ma 112 seminariów, w których kształci się do 6000 alumnów.

Czas by był, żeby i dla szerszego ogółu szkolnictwo zakonne przestało być *„terra ignota“*. Przyczyniłoby się to do uchylenia wielu uprzedzeń a wiele powołań uchroniłoby od zagłady.

Jeśli w wielkiej grze o przyszłość religii i Kościoła zakonom franciszkańskim przypadnie czołowa rola, to podjąć ją będą mogły dzięki szeregom szermierzy, karmionym od dzieciństwa duchem SERAFICKIEGO OJCA.

O. Serafin Kaszuba.

HASŁO

WŚRÓD KSIĄŻEK, ZABAW, PRAC I WYTCHNIEŃ
NARASTA TREŚĆ NASZEGO DUCHA
SWOBODNA, CUDNA MŁODOŚĆ KWITNIE
RADOŚĆ KASKADĄ ŚMIECHÓW BUCHA

TRUD ZASIĘG MYŚLI NAM ROZSZERZA
WŚRÓD KSIĄŻEK MŁODOŚĆ NASZA KWITNIE
MŁODOŚĆ WESOŁA, BUJNA, ŚWIEŻA
UŚMIECHAJĄCA SIĘ BŁĘKITNIE

PRZYSZŁOŚĆ BUDUJEM CHWILĄ KAŻDĄ
ŚNI NAM SIĘ WIELKI SEN O CZYNIE
RAMIONA PRĘŻĄ SIĘ KU GWIAZDOM
MARZYM O WALCE I WAWRZYNIE

NIE BACZĄC ZYSKÓW ANI STRAT
W BRATERSTWIE Z STARYCH SZKOLNYCH ŁAW
Z TRIUMFEM PÓJDZIEM KIEDYŚ W ŚWIAT
I PRZEBRNIEM MORZE ŻYCIA WPŁAW

BO NAS W ZWYCIĘSTWA JASNY SZLAK
PRZEZ KRZYŻE BŁĘDNYCH KRĘTYCH DRÓG
POWIEDZIE TEN DOSTOJNY ZNAK:
MIŁOŚĆ, OJCZYZNA — WIARA, BÓG!

X Y.

ECCE QUAM BONUM ET QUAM JUCUNDUM...

O życiu zakonnym napisano już tomy. Od św. Augustyna do Woltera i Manzoniego dostarczało ono tematów do pełnych uniesienia panegiryków lub do ostrych paszkwilów — zależnie od gustu. Klasztory nazwano rajem na ziemi lub wylęgarnią darmozjadów. U nas Jegomość biskup warmiński ostrzył sobie na zakonnikach wielkopański dowcip, Kraszewski, Chodźko, Syrokomla, gawędzili o rubachach — kwestarzach, Berent obrobił ich na modłę młodopolską w prześlicznej, tęczobarwnej opowieści o średniowieczu. Te postronne sądy ludzi świeckich o zakonnikach zawsze są ciekawe, jeśli tylko są bezstronne. Są one jeszcze ciekawsze, jeśli wychodzą nie spod pióra literata, ale z ust ludzi czynu, na których świat patrzy jak na wyrocznie.

Zmarły przed kilku laty francuski marszałek, generał Lyautey był człowiekiem niepospolitych zdolności i żelaznego charakteru. Mając pracę w kraju utrudnioną przez rządy masońskie, wsławił się za granicą. Skolonizował Indie, Madagaskar, Algier, pozyskał dla Francji Maroko.

W jednej z podróży zdarzyło się, że wstąpił do klasztoru Cystersów na górze Sion. Zakonnicy przywitali go muzyką i śpiewem. Generał rozrzewnił się, podziękował, a potem przemówił w prostych ale mocnych słowach: „Patrzycie na mnie" — mówił patrząc bystro w oczy nowicjuszom — „myślicie sobie: oto jest Lyautey, marszałek Francji. Człowiek, który spędził swe życie na wielkich drogach, który widział cały świat, który wszędzie wydawał rozkazy, jako wódz. I może myślicie: czemże jest nasze życie wobec jego życia! Czyż można wytrzymać zawsze zamknięcie w klasztorze i tylko szeptać modlitwę, kiedy świat jest tak rozległy, tak piękny i tak wiele można działać! Tak, wiem, Indochiny, Maroko... wszystko to jest wspaniałe, oszałamiające... A jednak ja, Lyautey, powiadam wam, mali zakonnicy: wasze życie, wasza reguła, wasze modlitwy, wasze ofiary, są równie

potrzebne, równie konieczne i owocne, równie wielkie, jak największe dzieła na ziemi. Konieczną jest bowiem równowaga, koniecznym jest porządek. Obok czynu, jest rozmyślanie, obok wysiłku zewnętrznego, jest życie wewnętrzne. Obok walki z żywiołami i ludźmi jest walka z samym sobą. Życie byłoby chaotycznym szaleństwem, gdyby nie rządził nim duch. Bez ludzi takich jak wy, człowiek taki jakim ja jestem, nie byłby niczem. Czyż zatem wy mali zakonnicy zdajecie sobie sprawę z roli, jaką spełniacie na ziemi? W chwilach znużenia i zniechęcenia — wszyscy mają takie chwile, czy mniemacie, że ja ich nie mam — zapytujecie się może, czy nie popełniliście szaleństwa, zamykając się w tych murach? Czy zdajecie sobie dobrze sprawę do jakiego stopnia jesteście pożyteczni, jesteście nieodzowni i zajmujecie w porządku świata zasadnicze miejsce?"

Choćbym żył tysiąc lat — pisze świadek tego przemówienia — nie zapomnę nigdy tej chwili.

W miarę jak mówił, jego samego ogarnęło wzruszenie. Głos jego coraz więcej się załamywał. Nagle przerwał, bo nie mógł już dłużej mówić... Nikt nie drgnął... Była to jedna z owych chwil błogosławionych, w których natężenie duszy dochodzi do szczytu.

Kilka minut później, odprowadzając marszałka za próg klasztoru, przełożony szepnął mu do ucha: „Panie marszałku, uczyniłeś więcej dla moich nowicjuszy, niż stu kaznodziei przez sto lat..."

(Z Salwatora)

Ponieważ w naszych przewrotnych czasach w pożyciu domowym mało się dba o chrześcijańskie wychowanie dzieci, i przy szeroko rozlanej powodzi zgorszenia, młodzieńcy pozbawieni są uświadomienia religijnego, które jedynie zdolne jest przysposabiać umysły do zachowywania przykazań Bożych a nawet wprost do życia według norm uczciwości i prawdy — stąd nie możecie nic pod tym względem lepszego uczynić, jak zakładać małe seminaria, czyli kolegia dla chłopców wykazujących pewne oznaki powołania.

(Pius XI Enc. Unigenitus Dei Filius)

TANTUM TE DILIGERE QUANTUM TE COGNOSCERE

STUDIA W ZAKONIE KAPUCYNÓW

Kiedy w r. 1525 O. Mateusz z Bassi prosił Klemensa VII, by mu pozwolił powrócić do prostoty pierwszych dni życia franciszkańskiego i zachowywać Regułę w jej pierwotnej czystości, — nie myślał pewnie, że był narzędziem w ręku Opatrzności, która słabe istoty wybiera do spełnienia wielkich dzieł. Szedł tylko za głosem serca pełnego miłości Bożej, bo nie mogąc znaleźć spokoju w obszernych klasztorach obserwanckich, żył ciągle wizją św. Patriarchy w surowej siermiędze i pragnął wstępować w Jego ślady. Lecz może ta właśnie bezinteresowność i zapał dla świętej sprawy zjednały mu naśladowców, jak on spragnionych gruntownej reformy mocno nadwerężonego życia zakonnego.

Jeszcze w tym samym roku, w którym Mateusz powrócił z Rzymu ze słownym pozwoleniem Papieża na życie pustelniczo-apostolskie, Ludwik i Rafał Fossombrone prosili go o przyjęcie do wspólnego życia. Mateusz jednak nie miał pozwolenia na przyjmowanie nowicjuszów; to też dwaj bracia musieli wybrać się w daleką podróż do Rzymu, by uzyskać rozszerzenie przywileju udzielonego Mateuszowi, na siebie i na innych braci, którzyby pragnęli pójść w ich ślady. Pozwolenie to uzyskali w r. 1528. Jest to rok narodzin nowej gałęzi Zakonu Franciszkańskiego. Miała ona wkrótce zapuścić głęboko korzenie w życie Kościoła i społeczeństwa średniowiecznego i rozrosnąć się w szerokie, wspaniałe drzewo.

Nim jednak to się stało, musiało nowopowstałe zgromadzenie jasno uświadomić sobie swój cel i zadanie, wybrać drogę, którąby odtąd postępowało, rozwiązać wiele nasuwających się mu problemów.

Jednym z takich zagadnień, od którego rozwiązania zależał cały kierunek życia kapucynów, było ustosunkowanie się do studiów wogóle, a w szczególności do studiów teologicznych.

Jest rzeczą pewną, że w gronie pierwszych towarzyszów Mateusza było wielu zdecydowanych przeciwników wszelkich nauk w Zakonie, czy to świeckich czy teologicznych. Nie znaczy to bynajmniej, by w skromnych klasztorach umbryjskich pierwszych zakapturzonych braci brakło mężów o głębokim wykształceniu. Wprawdzie sam Mateusz nie liczył się do nich, bo podobno tylko kilka miesięcy uczył się gramatyki łacińskiej i zaledwie umiał czytać po łacinie. Również i Ludwik Fossombrone, człowiek o żelaznej woli i wybitnej zdolności do rządzenia, nie przykładał wielkiej wagi do wykształcenia teoretycznego. Nie był ani uczonym kapłanem ani kaznodzieją. Wkrótce jednak i jedni i drudzy zaczęli napływać do nowoutworzonego Zakonu. Charaktery wybitne, umysły o głębokiej wiedzy teologicznej, ba nawet jednostki zajmujące wybitne stanowiska w obserwie zaczęły tak licznie przeszczepiać się na grunt pełnego prostoty życia kapucynów, że przełożeni obserwantów, obawiając się o całość swej instytucji prosili Papieża o zakaz przenoszenia się do nowopowstałej gałęzi. Nic jednak nie pomagało, i choć rozpętała się burza grożąca zatopieniem budzącej się do życia reformy i już już miała nastąpić kasata — Bóg nie dopuścił do zniszczenia swego dzieła. Zakon rósł w siły intelektualne i duchowe.

Lecz dziwna rzecz! właśnie wśród mężów najwięcej wykształconych było najwięcej przeciwników studiów u współbraci. Widzieli w nich zapewne niebezpieczeństwo zagrażające tak bardzo umiłowanej przez siebie prostocie franciszkańskiej. Jako przykład w tym względzie może posłużyć O. Bernardyn z Montilano, mąż wybitnych talentów z niezwykłym wykształceniem, sławny i powoływany wielokrotnie na katedry uniwersyteckie Skotysta. Kiedy razu pewnego Bernardyn z Colpetrazzo radził się go, czy może oddać się studiom filozofii w celach kazdziejskich, uczony mąż zawołał z uniesieniem: — „Na Boga nie czyń tego; Bóg udzielił ci trochę ducha pokuty; weź jaki gotowy zbiór kazań i głoś przykazania Boże a przyniesiesz owoc. Gdyby mi nawet O. Generał polecił nauczać logiki, nie uczyłbym; i jeżeli będziesz pragnął założenia studiów w naszym Zakonie to mówię ci że sprowadzisz nam ruinę. Nasz Zakon tak bardzo jest ufundowany na prostocie, że gdyby postradał ją, nie mógłby już być Zakonem Serafickiego Ojca. Studia zawsze Zakon rujnowały”.



KOŚCIÓŁ OO. KAPUCYNÓW W ROZWADOWIE

Podobne zapatrywania podzielało wielu i odbiły się one na pierwszych konstytucjach kapucyńskich ułożonych w r. 1529 w Albacino. Widzimy tam wyraźny zakaz uprawiania jakichkolwiek studiów. „Zarządzamy, aby nikt nie ważył się przedsiębrać jakich studiów z wyjątkiem czytania Pisma św. lub jakiej innej książeczki duchownej". O kształceniu kandydatów na kleryków nie ma żadnej wzmianki; w nowicjacie mają się tylko wyuczyć na pamięć Reguły, potem młodzi profesi przez 4 lata zaprawiać się mają do życia duchownego pod kierunkiem magistra. I kapłanom nie pozwala się na uprawianie żadnych nauk; książki służące do ich użytku redukują się do brewiarza i jednego dziełka duchownego. Byli to t. zw. „sacerdotes simplices" — kapłani bez wykształcenia teologicznego, jakich zresztą w owych czasach była większość i poza Zakonem — w przeciwieństwie do kaznodziejów „praedicatores", którzy przeszedłszy do reformy od obserwantów i konwentualnych posiadali studia potrzebne do głoszenia słowa Bożego. Na barkach tych ostatnich spoczywało ciężkie zadanie spełniania podstawowej części programu Zakonu. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że lwią część tego programu wypełnia urząd kaznodziejski.

Taki stan rzeczy można było przyjąć na początku, nie mógł on jednak trwać długo. Musiano starać się o kaznodziejów wypielęgnowanych na łonie Zakonu, a co za tym idzie, — założyć własne studia.

Pierwszy krok ku temu zrobił mąż prawdziwie opatrznościowy, zarówno świątobliwy jak uczony Bernardyn z Asti, który został wybrany Wikariuszem Generalnym po smutnej pamięci Ludwiku Fossombrone. W konstytucjach z r. 1536 wydanych pod wpływem Bernarda czytamy zarządzenia, aby w celu przysposobienia zdolnych kaznodziejów były w Zakonie „studia pobożne i święte, natchnione duchem miłości i pokory, tak dla nauki pozytywnej gramatyki, jak też i Pisma św.".

Jakkolwiek zapatrywalibyśmy się na istotę tych studiów, to jednak wziąwszy pod uwagę ówczesny stan oświaty u kleru — kiedy to nie było nawet spełnione tak skromne żądanie IV Soboru Lateraneńskiego, by przynajmniej w każdej katedrze był ktoś, ktoby umiał gramatykę łacińską, — to zrozumiemy doniosłość powyższego zarządzenia konstytucyj.

Ważnym jest zwłaszcza to, że zerwano z fałszywym przekonaniem, jakoby nauka prowadziła do ruiny Zakonu i wyrobiono sobie należyty pogląd na rolę, jaką odgrywa dobrze pojęta nauka w życiu duchowym człowieka. Pogląd ten zaznacza się wyraźnie w przepięknej, pełnej głębokich myśli modlitwie, którą już wówczas polecono odmawiać na początku każdej lekcji: „Domine ego vilissimus servus tuus" — „ja najnędzniejszy sługa twój pragnę wnijść, bym ujrzał Twe skarby. Racz mnie niegodnego wprowadzić i daj mi, bym przez tę lekcję tak Cię umiłował, jak Cię poznam; bo poznać Cię pragnę tylko dlatego, bym umiłował Ciebie, Pana i Stworzyciela mego."

Tak więc, najdoskonalsza miłość Boga przez najlepsze Jego poznanie była celem, dla którego wprowadzono studia w najmłodszym zakonie franciszkańskim.

Tą samą zasadą kierowali się Ojcowie Soboru Trydenckiego, kiedy w kilka lat potem w r. 1549 wydali dekret „Super lectione et praedicatione", który miał zreformować sprawę wykształcenia całego kleru i w tym celu nakazał zakładać seminaria duchowne i studia teologiczne. Odnośnie do kleru zakonnego nie posunął się Sobór o wiele dalej niż nasze konstytucje — polecił bowiem tylko, aby w klasztorach, o ile to będzie możliwe, zakładano studia Pisma św.

Dekret ten rozbudził w Zakonie wielki zapał do nauk. W r. 1564, na Kapitule Generalnej powzięto uchwałę, aby w każdej prowincji starano się o założenie studiów teologicznych. Wkrótce potem powstały „Studia Generalne" najpierw w Rzymie, potem też w Genui. Rzymskie kolegium stało pod kierownictwem niezwykle uczonego O. Hieronima z Pistoi. Uczony ten mąż należy do tych, którzy najwięcej położyli zasług około studiów zakonnych.

Jego to zasługą jest, że wprowadzono w seminariach obok historyczno-egzegetycznej nauki Pisma św. także teologię scholastyczną z odpowiednim przygotowaniem filozoficznym. Niemało też przyczynił się Hieronim do rozwoju wiedzy w Zakonie, skierowując umysły swych wychowanków ku wzniosłej nauce Doktora Serafickiego. Św. Bonawentura stał się głównym filarem teologii w kolegiach kapucyńskich i choć w ciągu wieków w szeregach uczonych kapucynów nie brakło szkotystów i zwolenników św. Tomasza z Akwinu, to jednak najwięcej z nich uwielbiało Doktora Serafickiego.

Hieronim z Pistoi zaczyna długi szereg mężów głębokiej wiedzy, którzy z całym zapałem oddali się studiom teologicznym. Równocześnie z nim, lub wkrótce po jego śmierci występują na widownię takie postaci, jak Hieronim z Montefiore, Maciej ze Saló, Tomasz z Città di Castello, Marius i Marceli Saraceno. Pod ich to wpływem konstytucje z r. 1575 zrobiły krok naprzód w sprawie wykształcenia wychowanków, — obok Pisma św. i teologii scholastycznej wprowadzono w program naukowy inne jeszcze gałęzie wiedzy: logikę i filozofię i stworzono coś w rodzaju „trivium i quadrivium“ średniowiecznego. Był to już dalszy etap rozwoju studiów — fundament, na którym oparty został ówczesny system naukowy. Nie był to jeszcze system doskonały i wiele pozostawiał do życzenia. Każdy kleryk uznany za odpowiednio uzdolnionego, przechodził jednoroczny kurs logiki, dwuroczny filozofii, którą oddzielnie od logiki traktowano, a która obejmowała fizykę i metafizykę i wreszcie dostawał się na czteroletnie studium teologiczne. Ten siedmioletni system naukowy jest jeszcze dziś stosowany. Wiele się jednak w nim w ciągu wieków zmieniło. Zmienił się sposób nauczania, rozszerzył się zakres wiedzy wymaganej od przyszłego kapłana.

Jedno tylko pozostało niezmienione — to duch ożywiający studia zakonne — duch miłości i gorliwości o chwałę Bożą. „Tantum Te diligere, quantum Te cognoscere“ — ta zasada, która przyświecała przodkom — rządzi też poczynaniami ich następców w dziele Św. Ojca.

O. Augustyn Napora

S Y L W E T K I

A P O S T O Ł   S Y B I R U

Wśród polskich kapucynów są postaci, których życie owiane tajemnicą, zasługuje na przypomnienie.

O. Elizeusz Głębocki z Uściługa na Wołyniu, jest mało znany. Nawet w kronikach nie wiele się o nim pisze. Ale i tych kilka rysów prawie legendarnej, pełnej poezji postaci sybirskiego starca, jakie zachowała nam przeszłość, tchnie nieprzepartym urokiem.

* * *

W zacisznej celi klasztornej przyszła nań znagła myśl, że za mało jeszcze pozyskał dusz dla Chrystusa. Jak w jasnowidzeniu, ujrzał tysiące rodaków, rozsianych po bezmiernych obszarach Rosji bez duchownej opieki. Wkrótce podążył do Moskwy z pociechą dla opuszczonych owieczek.

Ale nie znalazł spokoju.

Od podróżnika z dalekich, mroźnych stron dowiedział się, że po całej Syberii żyją rozrzuceni katolicy, którzy od lat pozbawieni widoku kapłana, zapomnieli dźwięku słowa Bożego. Usłyszał, że w kopalniach Nerczyńska jest wielu skazanych na dożywotnie roboty przestępców, oczekujących bezskutecznie religijnego wsparcia.

Odtąd O. Elizeusz jeszcze bardziej utracił spokój ducha. O Syberii myślał w dzień, o niej śnił w nocy, a im goręcej się modlił, tym wyraźniej słyszał głos wzywający do osieroconych braci. Upewniwszy się wreszcie o takiej woli Bożej, wyjednał u przełożonych pozwolenie na misję, a do rządu rosyjskiego zwrócił się z prośbą o udzielenie swobody ruchu na ogromnych przestrzeniach Syberii, o wstęp do kopalń i więzień. Skoro zaś

zgoda nadeszła, postarał się o skrzynię na przybory do Mszy św., zebrał szczupłą jałmużnę i był gotów do podróży.

Nadszedł dzień wyjazdu. Wieczorem przed nim zgromadzili się wszyscy ojcowie w hospicjum, aby pożegnać ukochanego współpracownika. Jakże małymi musiały im się wydać ich prace i trudy wobec ogromu znoju i poświęcenia O. Elizeusza! Wszak oni mieli przytulny dom, w którym po całodziennej pracy w spokoju kładli strudzone głowy na spoczynek; brat-kucharz przygotowywał im codziennie krzepiące potrawy; mogli się wzajemnie pocieszać, zachęcać do pracy, udzielać sobie duchownej pomocy; on zaś wyruszał sam jeden w daleki, obcy kraj, w którym nigdy rano nie będzie wiedział, czy, gdzie i czem w ciągu dnia pokrzepi strudzone ciało i pozbawiony będzie drugiego brata-kapłana. Zaprawdę — niepojęta ofiara! Taką można złożyć li-tylko na skutek nadzwyczajnej łaski Boskiej. O. Elizeusz wiedział o tem. Więc też zanim po raz ostatni udał się na spoczynek w hospicjum, skierował jeszcze kroki do cichego, klasztornego kościoła i zgiął kolana przed Tabernakulum. Pomyślał, ile to szczęśliwych godzin, najszczęśliwszych w życiu, spędził w tym świętym miejscu! Odtąd nie znajdzie już Tabernakulum. Więc prosił Chrystusa o łaskę i pomoc a potem pełen otuchy rzucił się w objęcia Opatrzności Boskiej. Z taką wiarą w sercu ten prawy syn św. Franciszka, sam jeden, uzbrojony w krzyż na piersiach i ze Zbawicielem w sercu, opuścił Moskwę i poszedł w daleką, lodową krainę Północy.

Z początku szła podróż dość dobrze i szybko, — jak długo mógł O. Elizeusz opłacać podwody, które wiozły jego kosztowną skrzynię. Lecz gdy wyczerpały się pieniądze, a jałmużny były coraz skromniejsze, im dalej posuwał się na północ i wchodził w mniej gościnne i uboższe okolice, tym więcej przeszkód stawało na drodze. Aż wreszcie dalsza podróż utknęła na martwym punkcie. Biedny misjonarz nie miał czem opłacać furmanek, a bezpłatnie rzadko kto chciał wziąć skrzynię na wóz; więc gdy wszelka pomoc zawiodła, znalazł się O. Elizeusz dosłownie pośród piachu i śniegu, jak rozbitek pośród spienionych fal, nie wiedząc, co począć dalej. Zawartość skrzyni była niezbędna do składania Najświętszej Ofiary i udzielania Sakramentów Św., za czym tak bardzo tęsknili opuszczeni na dalekiej Północy wierni. Cóż więc pozostawało do zrobienia, jeżeli nie można było wieść dalej skrzyni?



Mal. Wład. Barwicki

BYŁA TO NAPRAWDĘ DROGA KRZYŻOWA

Wrócić! Wszak okazał dobrą wolę a i w Moskwie też nie braknie pracy. A więc „wracaj”, mówił rozsądek, i „wracaj”, wołały pełne grozy góry Uralu, przez które trzeba było się przedrzeć, by dotrzeć do Syberii. Głos ten zdawał się odnosić już zwycięstwo, gdy nagle przed oczyma Ojca stanęli osieroceni sybirscy katolicy z błaganiem: „Przyjdź do nas!”

I może wtedy zjawił mu się Chrystus z brzemieniem Krzyża na ramionach, pod którym trzy razy upadał, ale doniósł go na miejsce przeznaczenia.

Więc pomyślał Chrystusowy rycerz: „Jeżeli Syberia ma być dla mnie Kalwarią, na której zażąda Bóg wielkiej ofiary, niechże droga do niej będzie drogą krzyżową; trzeba przeto, bym i ja poniósł swój krzyż, a jeśli pod nim upadnę, Chrystus będzie mi Szymonem Cyrenejczykiem“.

Wyżebrał więc O. Elizeusz od pewnego litościwego Rosjanina sanie, włożył na nie skrzynię i ciągnął kosztowny skarb przez góry i doliny, przez bagna i śniegi. Była to naprawdę droga krzyżowa. Obok wyczerpania sił przez ciągnięcie sań, walczył z zimnem i głodem. Groziły mu rozliczne niebezpieczeństwa w postaci gęstej mgły, śnieżnych huraganów i górskich przepaści. Jakże często drżał przed dzikimi zwierzętami i dzikszymi od nich ludźmi! Jak często spotykała go pełna grozy noc wśród odwiecznych lasów lub na bezkresnej równinie! Wśród ostrego mrozu musiał zmieniać odzież, która zlana obficie płynącym potem, zamarzała na jego ciele. Sypiał w wykopanych przez siebie w śniegu głębokich dołach. A gdy szalał nad nim wicher i w oddali wyły zgłodniałe wilki, spał snem sprawiedliwego, mając opiekę Boską za wezgłowie. Wtedy też z pewnością św. Franciszek spoglądał z nieba na swego syna pełen miłości, i roztaczał nad nim obronne ręce, aby nic mu nie przerywało snu.

W takiej udręce doszedł wreszcie do granic Syberii. Zdało mu się, że wchodzi do Ziemi Obiecanej. Padł więc na kolana, podziękował Bogu za szczęśliwie odbytą podróż, oddał Jego opiece czekającą go pracę i prosił o błogosławieństwo. Potem podciągnął sanie do najbliższej wsi i szukał w jednej z chat schronienia. Nie poszło to łatwo wobec nieufności i podejrzliwości ludu sybirskiego w odnoszeniu się do obcych. Biedny wędrowiec musiał pukać do wielu drzwi, zanim wkońcu jakiś litościwy wieśniak przyjął go do swej okopconej, ciepłej izby. Jak błogo czuł się misjonarz, znalazłszy

się po tylu, tak strasznych trudach pod dachem, przy ciepłym ognisku, pośród dobrych ludzi, którzy wkrótce pokochali swego gościa, co z imieniem Boga stąpił w ich próg.

Zaledwie sługa Boży nieco wypoczął i nabrał sił, zaczął szukać w okolicy katolików, a znalazłszy jednego z nich, serdecznie pożegnał swego gościnnego gospodarze i przeniósł się do chaty współwyznawcy; pragnął bowiem jak najprędzej rozpocząć misję, a na początek odprawić Mszę św. — Zbudowano więc skromniutki ołtarzyk, który uradowani mieszkańcy chaty ozdobili, jak mogli. Rozczulająca była ta pierwsza Msza św. na Sybirze. Kiedy O. Elizeusz na Podniesienie wzniósł w górę Najświętsze Ciało Chrystusowe, oblicze jego zapłonęło świętym wzruszeniem, a cała postać zdawała się rosnąć i olbrzymieć, jak gdyby pragnął podnieść Hostię św. ponad tym całym nieszczęśliwym krajem, aby promienie Słońca Eucharystycznego mogły dotrzeć do wszystkich smutnych serc.

W ten sposób rozpoczęła się misja. O. Elizeusz szedł od wsi do wsi, od osady do osady. Główną jego troską było przygotowywanie na katolicką śmierć chorych i umierających i udzielanie dzieciom Chrztu św. Potem poświęcił się zdrowym. Jak najczęściej odprawiał w większych domach Mszę św., kazał, spowiadał, komunikował i udzielał ślubów. I tak szedł coraz dalej, jednając sobie wszędzie miłość i cześć.

Jak długo działał w okolicach, dobrze zaludnionych, szło wszystko pomyślnie. Gdy jednak począł posuwać się dalej na północ, w okolice coraz bardziej bezludne, gdzie było i zimno dotkliwsze i drogi gorsze, coraz większe poczęły się piętrzyć trudności. Nie zrażał się tem jednak, bo postanowił dotrzeć z duchowną pociechą do wszystkich katolików Syberii.

Bóg błogosławił jego pracy, bo trafiał i do serc innowierców, z których niejednego na łożu śmierci przyjął na łono Kościoła katolickiego i niejednemu dziecku niekatolickiemu udzielił Chrztu św. w ostatniej życia godzinie. Wśród apostolskiej pracy nieraz spotykała go huraganowa śnieżna zawieja, nieraz życie jego wisiało na włosku, ale zawsze Chrystus ochronił swego szermierza przed grozą niebezpieczeństwa. A wtedy dziękował gorąco Panu i polecając się dalszej Jego opiece, czerpał w przeżytym niebezpieczeństwie coraz większą ufność w wszechmoc i potęgę Boga. A gdy okrutna sybirska zima roztaczała srogie

MODLITWA

ROZSŁONECZNIŁY SIĘ WARGI W MODLITWIE
WYROSŁEJ PROSTO Z DUSZY BIAŁYM KWIATEM
CUDNIEJSZYM NIŻLI TE NA ŁĄCE LATEM:
ZDROWAŚ MARYJO!...

ROZSŁONECZNIŁY SIĘ WARGI W MODLITWIE,
KTÓRĄ GOREJĄ NATCHNIENI I ŚWIĘCI
A ODGRZEBANĄ TAK ŁATWO W PAMIĘCI
ZDROWAŚ MARYJO!...

ROZSŁONECZNIŁY SIĘ WARGI W MODLITWIE
CICHO, POKORNIE I NAD WYRAZ SMĘTNO
O RZECZ DLA INNYCH MOŻE OBOJĘTNĄ:
BYM RAJ ZOBACZYŁ, UTRACONY — WE ŚNIE
CHOĆ TO NAPEWNO, NAPEWNO — ZAWCZEŚNIE
ZDROWAŚ MARYJO!...



Mal. Wład. Barwicki

WŚRÓD WYGNAŃCÓW NA SYBIRZE

W WOLNYCH CHWILACH

LEGUŃSKI KAPELAN

(gawęda)

Spotkałem kapelana Kosmę.

Wprawdzie w Legionach nie znałem go z bliska, bo jakże? On był przecież szarżą, chociaż tylko duchowną, a ja — ot taką sobie chetką — pętelką, której nikt pewnie po śmierci pomnika nie postawi. Ale któżby go nie pamiętał z tej leguńskiej tradycji, co wartkim strumykiem płynęła pomiędzy bracią czy to w ziemiankach przy ognisku czy w marszu lub nawet na placówkach pomiędzy jednym a drugim atakiem.

Zresztą kiedy legun natknie się na leguna, to choćby widzieli się po raz pierwszy, czują się jak dzieci z jednego podwórka.

Były już więc dobre dwie fury wspomnień za nami, kiedy kapelanowi nagle coś nowego przyszło na pamięć.

— Wiecie — zawołał — mnie te dranie leguny chciały upić!

— Nie może być?

— Naprawdę!... I to trzy razy, to szelmy!

— A Ojciec co na to?

— Zawsze ich kiwnąłem!

— O, to ciekawe! jakże to było? Wiedziałem, że się zanosi na coś dłuższego.

W istocie ks. Kosma się zapalał.

„Miałem ja się z nimi, bo miałem“ — zaczął swym niskim, nerwowo przerywanym głosem — bractwo piło na umór! Sami dobrze wiecie. Niechby tam sobie i pili, tylko nie za wiele — w miarę, ale oni miar nie znali. Wszystka im mądrość szkolna z głowy wywietrzała. Najgorsze jednak dla mnie było to, że się — psie juchy — ciągle odgrażały: „Musimy kapelana upić“. Ja tam, dzięki Bogu, głuchy nie jestem: słyszę, jak trawa rośnie — to też żauważyłem, że ciągle te psubraty spisek na mnie knuły.

„Na baczność“ psia para nie mogłem ich postawić, bo kapelańska szarża takim heretykom nie imponuje, musiałem więc z konieczności uciekać się do fortelów — jedynej broni, jakiej kapelan używać może na froncie. Wódki nie lubię od dzieciństwa. To nie jest wcale moja zasługa. Nie lubię i basta. Fizycznie jej wprost nie znoszę. A tu wiara przysięgła sobie ululać kapelana. Ano innej rady nie było: trza się bronić i kwita! Kiedy więc tylko na pijaństwo się zanosiło, zawsze byłem w odwrocie. Szukają kapelana! Sodoma i Gomora! gwar, rwetes, bieganina! „Fajfendekli, jak psy gończe z wywieszonymi jęzorami biegają na prawo i lewo, szukając O. Kosmę, ale bez rezultatu, bo kapelan się

dobrze „zadekował“, jak każdy rasowy legun, kiedy tylko chce albo kiedy konieczność tego wymaga.

Wiedziałem przecież dobrze, że dla mnie bractwo nie odłoży okazji do wypicia, bo to na froncie, jak na froncie: masz co wypić — powiadają — wypij zaraz, a nie chcesz, to kto inny za ciebie to zrobi! No i w taki sposób z niejednej matnim się wywinął. Byłem pewny, że nie upiją mnie. A tu z jasnego nieba grom na mnie pada: biskup Bandurski przyjeżdża na front! Było to pod Maniewiczami. Ach! jak się nazywa ta wioska, gdzie Brygada stała?

Zagrzebujemy się w pamięci. Na końcu języka jest, ba! przed oczyma, jak żywa stoi, a nazwa nie chce przyjść. Już mieliśmy zrezygnować z dalszego poszukiwania, ale tu przecież o ścisłość historyczną chodzi, więc najmniejszej rzeczy bagatelizować nie wolno!

— Już mam! już mam! Toć to było w Leśniewce.

— Prawda, w Leśniewce! — i cieszymy się jak dzieci, że na strychu pamięci — między tylu rupieciami — znalazła się Leśniewka, do której właśnie miał przyjechać biskup Bandurski, żeby legunów na froncie odwiedzić.

— Otóż to! — ciągnie dalej kapelan — przyjazd do sztabu Biskupa Legionów jest dla wiary doskonałą okazją do wypicia. Na bankiecie muszę być koniecznie! Taktyki odwrotowej w tym wypadku już stosować nie mogłem. Nie da rady! trza się przygotować do ataku. Obleciał mnie siarczysty strach! Ja tam nie miałem strachu przed wódką: uchlać się jak św... — niewielka sztuka! Żeby im zrobić przyjemność, mógłbym się trochę umartwić, no i pić z nimi, ale przecież nosiłem habit — quod licet bovi, non licet Jovi — jestem księdzem, co więcej — kapelanem legunów, dla których nie masz świętości, jeżeli tylko ich ślepia „zakazane“, ich węch „sakramencki“ spostrzeże i poczuje śmieszną stronę. Ratunku już wtedy niema! Przepadłeś, człecze, z gnatami! Familię ci po kątach porozstawiają — i zdechł kot w butach! Zresztą, wy to sami dobrze wiecie... Ja truchlałem przed tą śmiesznością, bo wtedy i cały mój wpływ na żołnierza runąłby bezpowrotnie! Chodziłem struty... miejsca sobie znaleźć nie mogłem. „Co tu robić? co tu robić?“ — skrzeczała mi po głowie myśl, jak polowy telefon w sztabie. A przygotowania pod komendą nieboszczyka Suliskowskiego na całą parę idą! Sądny to był dzień dla mnie. Nic nie mogłem wymyślić. Głową muru nie przebijesz. Już nawet zrezygnowałem z obrony... Upiją mnie — no to upiją! Nie ustępowało jednak rozdrażnienie. Wszystko widziałem w czarnych kolorach a złość mnie taka ogarnęła, że oj oj oj!!! Wtem — do tej pory nie mogę zdać sobie sprawy dlaczego — zawlokłem się do karczmy, gdzie miał się odbyć ten bankiet. Wszystko już tam prawie było przygotowane. Oglądam wszystkie kąty. Włazi mi w oczy jakieś podwyższenie: to miała być estrada dla orkiestry. I tu właśnie miałem chwilę jasnowidzenia: „Ha, ha, ha! jest obrona! Nie upiją mnie! Wygram bitwę!“ Humor wrócił. Uzbroiłem się w kieliszek, szklankę — no i z radością w sercu odchodzę do siebie...

Odsapnął trochę ksiądz kapelan. Widać było, że to wszystko dzisiaj właśnie raz jeszcze przeżywa z niemniejszą siłą, jak wtedy — tam — w Leśniewce... Jego małe, żywe, bystre, ruchliwe i szczere oczy jakaś mgła przysłoniła: może to był smutek... może żal jakiś zmartwychwstały... może tęsknota — może — ale nie wolno z kaloszami włazić do innej, choćby najbardziej bratniej duszy, niech więc przyczyna tej mgły zostanie tajemnicą kapelana.

— Aż wreszcie przyszła ta osławiona uczta! — przerwał z wysiłkiem milczenie leguński kapucyn. — Cała I Brygada z przyległościami wzięła w niej udział. Był Komendant. Same grube były tam ryby. Nie będę wymieniał nazwisk, bo i poco? Pycha jeszcze by mogła się przyplątać, że człek ma takie szerokie znajomości między dygnitarzami we współczesnej Polsce. Ja sobie obrałem miejsce tuż przy orkiestrze ze względów oczywiście strategicznych i zaraz przystępuję do wykonania swoich planów obronnych.

— Masz tu szklankę i kieliszek — mówię do pierwszego z brzegu muzykanta, pakując mu w łapę te narzędzia pijaństwa, — ja wam będę dawał pełne szklanki i kieliszki, a wy mnie — próżne. Interes na tym zrobicie dobry! Tylko sza... ani mm... mm... a robić mi po leguńsku, żeby nikt z oficerów nie zobaczył tego, zrozumiano?

Zabłysnęły wiarze ślepia. Gratka niezła im wpada. Wiedziałem dobrze, że mnie nie zdradzą, bo straciliby tylko. Zaczęto wychylać toasty. Pierwszy, o ile sobie przypominam — za pomyślność Ojczyzny.

— Niech żyje Polska! — wrzeszczano, trzymając w rękach kielichy.

— Ja to samo robiłem, z tą tylko różnicą, że wtedy, gdy inni do ust nieśli kielichy, by je do dna wysączyć, ja swój oddawałem orkiestrze, a próżny kielich natychmiast postawiłem na stole.

— Pierwszy atak się udał! — myślę sobie z zadowoleniem. Byłem jednak porządnie osaczony. Moi sąsiedzi przy stole pilnie zwracali uwagę na kielich, stojący przed mojem nakryciem, i napełniali go sumiennie. Idzie drugi toast: ktoś z grubych ryb wygłasza przemówienie, kończąc je okrzykiem:

— Niech żyje biskup Bandurski!

Kiedym patrzył na nowe transporty butelek, które znosili ordynansi na rozkaz Sulistrowskiego, który bankietem dowodził z taką samą werwą, jak żołnierzami w polu, rozpacz mnie ogarniała, bom się obawiał, by moje fortele nie wylazły na wierzch, jak oliwa, bo wtedy porządna byłaby klapa!

Zdaje mi się, że na toaście: „Niech żyje I Brygada!" zakończyła się serja toastów oficjalnych. I ten kielich powędrował do moich sprzymierzeńców. Teraz przyszedł czas na inicjatywę prywatną biesiadników. Zawzięcie szukano, komu jeszcze warto krzyknąć „Niech żyje"! — by przy tej okazji wychylić jeszcze jeden kielich.

C. d. n. *Augustyn Żydowo*

Do bezpretensjonalnej gawędy byłego legionisty (jest to nieco zmodyfikowany przedruk z niewychodzącego już „Panteonu Polskiego") dodajemy reprodukcje artystycznych wspomnień o O. Kosmie znanego malarza — również legionisty. Dla jasności zwróciliśmy się do kompetentnego znawcy z prośbą o krótki komentarz (red.)



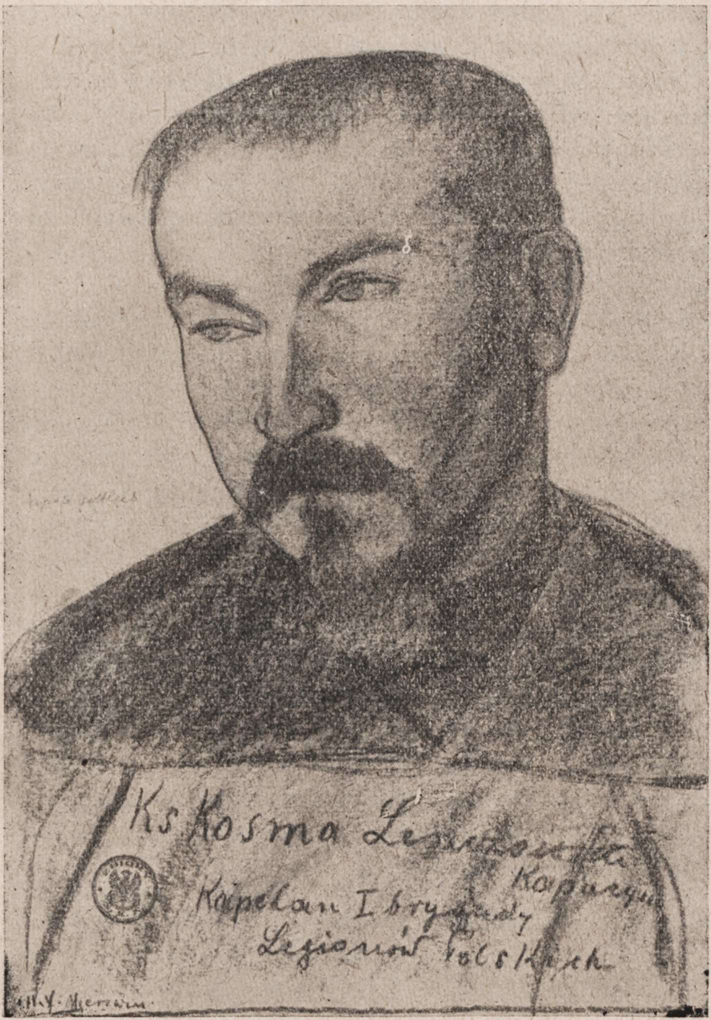
GRONO NAUCZYCIELSKIE I WYCHOWANKOWIE KOLEGIUM

Statystyki wspominają o Kolegium Ser. istniejącym w Krakowie w latach 1902 — 1905 a więc za rządów prowincjalskich O. Floriana z Haczowa. Była to pierwsza próba podjęta w kierunku powiększenia stanu liczebnego Prowincji. Próba się nie udała, jak świadczy stopniowy spadek liczby wychowanków — 8, 6, 5, a wreszcie zupełny ich brak. Niemniej jednak podjęcie jej dowodzi, że oddawna szukano wyjścia z przykrej sytuacji.

Przed wojną i w pierwszych jej latach zainteresowania ożyły, ale zwróciły się w innym kierunku. W r. 1913 wyjechało dwóch kleryków do Gregorianum na teologję, w następnych zaś latach dołączyło się do nich jeszcze dwóch: prawnik i filozof. Były to podstawy pod przyszłe studium filozoficzno-teologiczne, ale sprawa kolegium dla młodzieży wciąż jeszcze stała odłogiem. Wojna, brak funduszów, obawa przed nowością stawały na przeszkodzie. I kto wie, jak długo trwałby ten beznadziejny stan i do jak wielkiego wyczerpania musiałby doprowadzić, gdyby się nie zorjentowano, że czekać znaczy skazać się na powolną ale niechybną zagładę, więc trzeba działać na gorąco bez oglądania się na trudności. Ówczesny Prow. O. Czesław Szuber, któremu w pierwszym rzędzie zawdzięcza początki nowa Szkoła Seraficka, dokonał dzieła tym większego, że powstało ono w monencie największego wyczerpania powojennego, w ciężkiej atmosferze kryzysu finansowego, niechęci i sceptycyzmu

bić, lecz rysował prawie wszystkich, wyszukując w każdym żołnierzu odmienne, ciekawe cechy. Nie mógł wówczas wiedzieć, że szeregowcy których malował, zajmą kiedyś najwyższe miejsca w hierachii państwowej. Przeczuwał jednak swą malarską intuicją, że ci zwykli ludzie przybłędy, młodzi szaleńcy-patrioci, jak on rzucający życie na wielki stos ofiarny, odbudują Polskę. I POWSTAŁ w ten sposób pomnik postawiony Ojczyźnie. Kilkaset portretów jakoteż rysunków bitewnych stały się wymowniejszymi dokumentami chwili, aniżeli historyczne pergaminy. Ta prawdziwa skarbnica dzieł sztuki zostanie po wieczne czasy plastycznym utrwaleniem czynów i chwały żołnierzy, na wszystko zdecydowanych. Widać po wyrazach ich twarzy, że chcieli za wszelką cenę odzyskać to, czego ojcowie zdobyć nie umieli. GOTTLIEBOWI zawdzięczamy galerię obrazów, które przyszłym pokoleniom przekażą wyobrażenie bohaterskich postaci. Znaczna część tych rysunków znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie, gdzie stanie się dla wszystkich dostępna. Prace Gottlieba zdradzają bystrość obserwacji i umiejętne wyczucie przez psychologa artystę rycerskich charakterów. Nie brawura, nie sztuczki techniczno-malarskie znamionują jego dzieła, lecz wyrazistość i wnikliwość rysunkowa odbijająca się w uduchowionych licach portretowanych. Szkice te wykonywane na froncie, pełne wdzięku i harmonii w ujęciu wielkiego talentu, wykazują z malarską subtelnością prawdę, charakter, wyraz zamierzeń, wolę i czyny żywych ludzi. PRAC swych Gottlieb nie sprzedawał, lecz ofiarował je za życia narodowi. Wśród nich znajduje się kilka portretów kapelana I. Brygady Legionów Polskich O. Kosmy Lenczowskiego. Kto nie zna O. Kosmy, wyczyta z portretów ile miłości bliźniego, słodyczy i miłosierdzia ludzkiego oraz poświęcenia tkwi w sercu tego kapłana. Z ust jego zda się spływać coś niedopowiedzianego, jakby jakaś prawda wieczysta, jakby słowa św. Ewangelii... Oto właściwy Gottliebowi styl wydobywania wyrazu duszy ludzkiej. O. KOSMA należał do wybranych, których Komendant Piłsudski lubiał mieć przy Swym boku, a jego właśnie jako oddanego, wiernego sługę Bożego. Taką grupę bliskich wielkiemu Wodzowi stworzył Gottlieb pod Marcinkowicami w pięknym i cennym obrazie pt. Sztab I. Brygady. Obok Komendanta widzimy: ppłk. Sosnkowskiego, por. Sławka, kapelana O. Kosmę i ułana Sieroszewskiego na koniach. Oryginał znajduje się w Bibliotece Polskiej

RYSOWAŁ: LEOPOLD GOTTLIEB



O. KOSMA KAPELAN I BRYG. L.P.

w Paryżu, gdzie podziwiają go Polacy ze wszystkich stron świata. ZAMIESZCZONE odbitki portretów będą najpiękniejszym wspomnieniem dla jubilata O. Kosmy. Niechaj go w dniu jego imienin wzruszy pamięć tych chwil cudownych, które poświęcił największemu Bohaterowi narodowemu, TWÓRCY NOWEJ POLSKI: JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU.

W Krakowie, dnia 26 września 1936 r — *Alfred Holender-Holiński*

panowanie nad niezmierną przestrzenią kraju, gdy śniegi zasypywały drogi, piętrząc się ponad dachy domów i chat, wypoczywał strudzony rycerz Chrystusowy i nabierał sił do dalszej pracy.

Dokąd nie dotarł w swych wędrówkach apostolskich? czego nie widział, gdzie nie był? Odprawiał Mszę św. na zachodzie Syberii — w Tobolsku, nauczał na wschodzie — w Irkucku, udzielał św. Sakramentów nad jeziorem Bałkajskim, był pośród wiernych północy, pocieszał i podnosił na duchu nieszczęśliwych zesłańców w kopalniach Nerczyńska. Poznano go w całej Syberii, radowano się, gdy zawitał; płakano, gdy odchodził.

Wieść o działalności tego bohatera doszła do arcybiskupa w Mohylewie. Do jednego z tamtejszych kanoników katedralnych wysłał O. Elizeusz pismo, w którym imiennie podał wykaz parę tysięcy katolików zamieszkujących Syberię i prosił o zbudowanie przynajmniej jednego kościoła dla tych wiernych. To pobożne życzenie spełniono dopiero za rządów cara Aleksandra I, który osobiście zbudował dwa kościoły — w Tomsku i Irkucku — i oddał je w opiekę oo. jezuitów.

Lat 40 trwała apostolska praca O. Elizeusza w Syberii. — W ciągu tych lat dziesięć razy przeszedł całą Syberię docierając na wschodzie aż do chińskiej granicy. Katolicy nazywali go swoim ojcem i pocieszycielem, innowiercy „cudotwórcą".

Rzeczywiście, ten 90-letni starzec o łagodnym wzroku, pełnym energii obliczu, oraz osiwiałych w służbie Bożej włosach i brodzie, był chyba człowiekiem niezwykłym, skoro w zgrzybiałej starości odznaczał się młodzieńczym zapałem i znosił trudy, którym nie podołałby niejeden młody.

Zwykle zużywał O. Elizeusz na przejście przez Syberię czterech lat. Gdy w jakiejś okolicy minęły te lata, liczono napewne na rychłe przybycie świętego męża. Tak też w roku 1798 z utęsknieniem oczekiwano w pewnym okręgu powrotu O. misjonarza. Dzieci pytały, dlaczego tak długo nie zjawia się dobry człowiek, starsi dowiadywali się, czy jest już w sąsiedniej okolicy. Lecz O. Elizeusz nie przyszedł. Nie żył. Oddał ducha Panu, niewypowiedzianie bogaty w niebieskie zasługi, lecz tak ubogi w dobra doczesne, że niczego po sobie nie pozostawił, prócz znanej nam skrzyni i zużytego brewiarza.

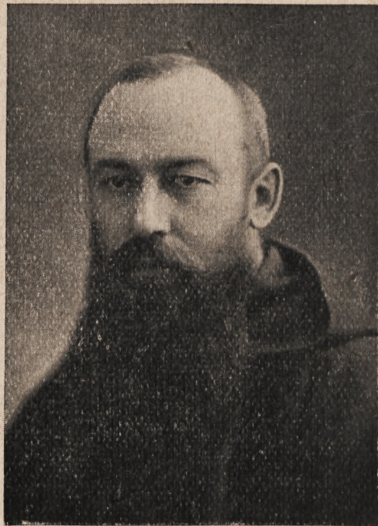
O. Augustyn M. Ilg
tł. A. Despinoix

STRASZY MNIE TO, ŻE W OGRODZIE MEJ DUSZY
SĄ KWIATY, CO KIELICHY GWIAZDY
W NOC TYLKO OTWIERAJĄ CIEMNĄ,
CZY SIĘ TE KWIATY ZAKOCHAŁY W GWIAZDACH
ODBITYCH W GÓRZE?
CZY TEŻ DLA NOCY CZARNEJ A DRAPIEŻNEJ
SNUJĄ KORONKĘ WONI?
ALE O TEM WIESZ TYLKO TY,
ODWAŻAJĄCY W OGRODZIE ŻYCIA ATOM KAŻDY,
O ULITUJ SIĘ TY NADE MNĄ
ŚWIECĄCY W GWIAZDACH
ODBITYCH W DOLE.
KWIATY OTWARŁY SWE CUCHY PURPUROWE I ŚNIEŻNE
I KAŻDY NOC CAŁĄ DRŻĄC
ŁZY WONIĄ RONI.

WŁ. BODNICKI



O. PROW. GERARD RYSZ
długoletni Dyrektor Kolegium



O. CZESŁAW SZUBER
były Prowincjał, Założyciel Kolegium

PIĘTNAŚCIE LAT

(Karty z naszych kronik)

Smutną refleksją zakończył nasz krakowski kronikarz rok 1907. Zaznaczywszy, że zmarło w tym czasie trzech braci, dodaje: „nie wyświęcił się zaś żaden ksiądz — powołań mało — społeczeństwo zmaterializowane — wszystko dąży za dobrobytem i rozkoszami — od posłuszeństwa i ubóstwa stronią“.

To utyskiwanie nie było tylko głosem pesymistycznie nastrojonej jednostki ale stwierdzeniem smutnego nad wyraz faktu, który łatwo sprawdzić, przerzucając karty kronik: zgonów coraz więcej a nowych powołań brak coraz widoczniejszy. Starzy Ojcowie, obarczeni nadmiarem pracy, ze zrujnowanym zdrowiem zasuwają się w cień i żałobnym szeregiem jeden po drugim kroczą na mogiłki, a na opuszczonym przez nich polu zostają luki. Nie ma ich kto zapełnić.

Prymicje są świętem, które nie w każdym roku się zdarza. Czasem trzeba na nie czekać dwa i więcej lat. Aspiranci na klery-ryków — przeważnie studenci, którzy muszą dorabiać studia, zgłaszają się skąpo — normalnie dwóch czy trzech w roku. A czy wszyscy przejdą szczęśliwie ciężką szkołę nowicjatu? a jeśli nawet przemogą tę ogniową próbę, to ile jeszcze niespodzianek zdarza się w pierwszych latach życia zakonnego nim szczęśliwy wybraniec dojdzie do ołtarza?

Ten stan stopniowo rozwijającego się marazmu, który początkiem swym sięgał niewątpliwie okresu józefinizmu a w dawniejszej fazie rozczłonkowania jednolitej Prowincji na luźne części, pogarszał się niemal z każdym rokiem. Było to tym smutniejsze że właśnie w tedy w latach przedwojennych otwierało się przed zakonnym kapłanem olbrzymie pole nowej pracy. Wszak był to okres mankietników i bojówek socjalistycznych. Czasy fanatyzmu i do wściekłości doprowadzonej rozpaczy. Zabójcza atmosfera „Dzieci“, „Wirów“ i „Ludzi podziemnych“. W kościołach lała się krew a kilkudziesięciu ogłupionych wyznawców „Mateczki“ odrywały od prawdziwej wiary tysiące dusz. Zewsząd szły głosy: ratujcie nas! Lecz kto miał ratować? Czy nędzny, ogłupiały, obezwładniony przez wojnę japońską rząd, którego przedstawiciele drżeli z obawy przed kulą bojowca. Ten rząd sam uznał swą niemoc i zrozumiał, że tu potrzeba siły wyższej niż knuty sołdackie, siły którędy zdołała sięgnąć tam, gdzie leżał „narodu duch zepsuty.“ To też nie sprzeciwiał się już wiele kiedy misjonarze ze słowem ewangelii przekroczyli zamknięte dotąd kordony, by bożą nauką koić wzburzone umysły. Na wezwanie Ojca św. wszystkie zakony wysłały swych przedstawicieli do Kongresówki, do Poznańskiego i na Podlasie. I nasi poszli. Lud garnął się do nich tysiącznymi masami, płakał, korzył się, wywnętrzał jak przed rodzonymi. Żniwo nadobfite. Ale żniwiarzy mało. Czterech. Więcej nie można było, bo wypróżniłyby się klasztory.

W r. 1912 Prow. Krakowska straciła prawo samoistnego wyboru władzy, bo było nas za mało — niżej 30. Czekano skąd przyjdzie wybawienie, ale tym czasem przyszła jeszcze większa klęska — wojna.

Przyszły historyk tych czasów będzie musiał pisać krwią i łzami. Wojna całe wsie obróciła w perzynę, zdziesiątkowała ludność, sprowadziła nędzę. Skutki te aż nadto dobrze są nam znane.

I nasze klasztory ucierpiały w tej dziejowej zawierusze. Zaraz z początku zażądano kapelanów i dwóch Ojców poszło pomiędzy szeregi walczące, aż do końca wojny. Kilku zbyt zaangażowanych uszło za granicę. Kleryków rozesłano do domów na niepewne losy. Klasztory żołdactwo zamieniło na stajnie. Klauzura zniesiona, szkody nieopisane.

Ale te materialne straty, które rychło po uspokojeniu dały się naprawić, nie mogą iść w porównanie z niepowetowanymi przez długi czas szkodami, poniesionymi na innym polu.

Przez cały czas wojny nie było mowy o rozrastaniu się liczebnym Prowincji. Młodzież musiała brać karabin i iść na front walczyć za cesarza. Przelewała szlachetną krew w legunach. Gniła w niewoli. Marnowała się w rowach strzeleckich. Jakże tu mówić o powołaniach zakonnych?

Był wprawdzie wyjątek, że właśnie w ogniu bitew powstała myśl poświęcenia się Bogu i ktoś, jak ów trapista ze znanej książki, zdjąwszy mundur prosił o habit, ale to był wypadek wyjątkowy, nieledwie cud, wyjątek potwierdzający regułę.

Czyż można się dziwić, że wojna zwróciła człowieka całym frontem do zagadnień doczesnych walki o byt? Zwłaszcza w zmartwychwstałej Polsce, gdzie każdy kęs chleba trzeba było sobie wywalczyć własną pracą i sprytem. Bezpośrednim następstwem tego było rozpętanie się złych instynktów, obniżenie poziomu moralnego i zobojętnienie religijne.

Dla zakonów znaczyło to gwałtowny spadek powołań. Smutne następstwa nie długo dały na siebie czekać. Wystarczy przypomnieć, że w okresie między 1920 — 1924 nie było u nas ani jednych święceń a w tym samym czasie zmarło 4 księży, a kilku padło moralną ofiarą wojny.

Ale to już miało być dopełnieniem smutnych doświadczeń. Na cztery lata jeszcze przed tą datą pióro naszego kronikarza mogło zanotować radosną nowiną: „Uchwalona na kongredze Szkoła Seraficka przybiera kształty realne. Dzisiaj O. Prowincjał przyjął pierwszych trzech wychowanków“.

* * *

Myśl założenia własnej szkoły na wzór dawno już rozwiniętych podobnych instytucji zagranicznych, kiełkowała już oddawna w umysłach jednostek troskliwych o dobro Prowincji.



RYS. LEGIONISTA LEOPOLD GOTTLIEB: SZTAB I BRYGADY LEG. POL.

LEOPOLD GOTTLIEB ŻOŁNIERZ I MALARZ

ŻADEN z malarzy polskich nie zostawił tak bogatej spuścizny w postaci setek portretów i obrazów z pola bitew legionowych, jak Leopold Gottlieb żołnierz I. Brygady. Odbył on najpierw w charakterze ochotnika-szeregowca kampanię wojenną aż do końca 1914 roku i dopiero po tym okresie jął się na nowo malowania, w którym wykazał niezwykłą dokładność rysunku oraz umiejętność odtwarzania stanu psychicznego żołnierza. GOTTLIEB nie uwieczniał tylko najwyższych rangą, by im schle-

nawet u swoich. Było to prawdziwie „mierzenie sił na zamiary". Jeśli tworzenie kolegiów wszędzie natrafiało na trudności, to w Polsce, wycieńczonej wojną, upadającej pod ciężarem gwałtownej dewaluacji były one spotęgowane więcej niż gdzieindziej.

Pewien autor niemiecki powiedział że jeśli kapucyni chcą czegoś dokonać, to muszą najprzód modlić się a potem prosić „beten und bitten." Według takiej metody realizowano śmiałą myśl założenia Szkoły. Zaraz z początku poddano całą sprawę opiece Matki Najśw. i Patronów Prowicji. I może słusznie zanotowano w kronice jako dowód ich szczególnej opieki fakt, że trzech pierwszych wychowanków zgłosiło się w dniu św. Wojciecha, Patrona Prowincji. Za tym pierwszym narybkiem zaczęli ściągać inni. Z różnych stron Małopolski i Śląska, z bliskich i odległych okolic napływały zgłoszenia do mającej powstać uczelni. W klasztorze krakowskim zawrzała praca. Całe jedno skrzydło wiekowej sadyby przerabiano na klasy i sypialnie. Z początkiem września 1921 r. weszło w ciche mury klasztorne nowe życie. Roześmiane, bujne, buńczuczne, pełne młodzieńczego zapału. I zaczęła się praca. Ciężki trud przedzierania się przez żmudne początki. Ale Bóg błogosławił i już w pierwszych miesiącach można było widzieć zawiązki przyszłych pięknych owoców. Jakże cieszyć się musiał, pierwszy dyrektor zakładu, O. Gerard kiedy patrząc na stopniowe wyniki, mógł stwierdzić z zadowoleniem, że mimo, różnych niedomagań, mimo braku fachowych sił nauczycielskich i specjalnych urządzeń szkoła rośnie coraz bardziej nie tylko liczebnie, ale zdobywa też coraz mocniejsze podstawy na przyszłość. Opatrzność roztoczyła nad nią opiekę. Odżywianiem wychowanków zajęły się instytucje dobroczynne. Nieraz w ciężkich chwilach zjawiała się pomoc najmniej spodziewana. Życzliwi ludzie dobrym instynktem wyczuwali naglące potrzeby i o ile możności spieszyli z pomocą. Ktoś ofiarował książki do biblioteki; jakaś miłosierna pani sprawiła odzież dla najbiedniejszego ucznia. Zdarzały się wypadki, że dla zachęty fundowano nagrody dla najpilniejszych. Nazwiska takie ś. p. Dr. Łepkowskiego, p. Brzozowskiej i krocie innych zasługują na wdzięczną pamięć.

Jedno zwłaszcza szlachetne imię związało się mocnym węzłem z pierwszym okresem naszej szkoły. Szczególną sympatią i łaskawością darzył ją ś. p. ks. Biskup Nowak.

Dostojnik ten interesował się żywo postępem nauk, bywał na lekcjach, gwarzył z uczniami, dawał im ojcowskie nauki. Te chwile pozostaną na zawsze w pamięci wychowanków.

Nic dziwnego, że mając takie poparcie ze strony społeczeństwa, Ojcowie profesorzy wytężali siły, żeby odpowiedzieć zadaniu. I mały zaczątek rósł coraz bardziej; z każdym rokiem przybywało klas i uczniów. Aż wreszcie mury klasztoru krakowskiego okazały się za ciasne.

Z wrześniem 1924 r. przeniesiono Kolegium do specjalnie na ten cel przeznaczonego konwentu w Rozwadowie i uroczystym poświęceniem odnowionego skrzydła klasztoru zaczął się nowy okres w życiu naszej szkolnej placówki.

Pisać historię tych dziesięcioletnich wysiłków O. Gerarda, dyrektora zakładu i pracujących pod jego kierunkiem nauczycieli, byłoby jeszcze za wcześnie. Zresztą możnaby tu zastosować znane adagio Goethego: „wer den Dichter will verstehen“, kto chce pojąć mozół twórczy człowieka, musi być przy nim, z nim razem współpracować, i wczuć się w sytuację w jakiej dzieło powstaje. Wprawdzie powiedziano to tylko o poecie, ale któż nie jest poetą, kiedy tworzy rzeczy piękne? A czyż jest co piękniejszego, jak w duszy dziecka rzeźbić wizerunek Chrystusowy i przysposabiać ją do najwznioślejszego zadania na ziemi — służby ołtarza?

Trudno więc ocenić pracę naszych Ojców — wychowawców, jeśli się z nimi razem nie niosło ciężaru dnia. Jeśli Św. Jan Chryzostom nazwał wychowanie największą ze sztuk — „ars artium“ — to trzeba dodać, że jest ona zarazem najtrudniejszą, zwłaszcza jeśli podejmuje się ją w warunkach tak mało sprzyjających, jakie miał Rozwadów. Kolegium wymaga odpowiednio wyszkolonych nauczycieli, specjalnych urządzeń, zaopatrzenia materialnego, pomocy naukowych. Rozwadów w tym wszystkim miał i ma luki. I nie może być inaczej, bo każdy szlachetny początek ma to do siebie, że musi być trudny.

Tym bardziej powinniśmy się cieszyć i dziękować Bogu, że mimo tylu braków, dotychczasowe owoce są wiele obiecujące na przyszłość.

Kiedy w r. 1924 pierwsza grupa wychowanków przekroczyła progi nowicjatu, było to znakiem, że skończyły się czasy groźnego oczekiwania i katastrofę można uznać za zażegnaną. W r. 1929 został wyświęcony pierwszy kapłan — wychowanek kolegium. Odtąd

rokrocznie zwiększa się ich liczba. Ostatnio wyświęcony o. Albin jest 23 z rzędu. Wielu z alumnów zajmuje już odpowiedzialne stanowiska w Prowincji, kilku zaś jest w czynnej służbie dla Kolegium, z którego wyszli.

Obecnie liczba wychowanków wynosi około 60. Jest to cyfra wcale nie przeciętna, jeśli się zważy obecny kryzys wsi, z której przeważnie rekrutują się dzisiejsze powołania. Projektowane w najbliższym czasie nowe Kolegium zgromadzi ich napewno o wiele więcej, bo i dziś napływają zgłoszenia, których niestety, z braku miejsca nie można uwzględnić.

Tak więc wygląda w krótkim zarysie bilans piętnastolecia prac na polu wychowawczym w naszej Prowincji. Nie do nas należy oceniać, w jakiej mierze jest on dodatnim. Patrząc jednak na szereg zmian dokonanych pod wpływem nowoutworzonego Kolegium, musimy błogosławić ten decydujący moment, którego piętnastą rocznicę obecnie święcimy.

W ZWIĄZKU Z OBCHODEM PIĘTNASTOLECIA ODBĘDZIE SIĘ W ROZWADOWIE DNIA 8 LISTOPADA BR. UROCZYSTE POŚWIĘCENIE SZTANDARU SZKOŁY. NASZEJ MŁODZIEŻY SERAFICKIEJ ŚLEMY PRZY TEJ SPOSOBNOŚCI GORĄCE ŻYCZENIA, ABY STAŁA PRZY NIM WIERNIE, BRONIĄC IDEAŁÓW BOGA, OJCZYZNY I SERAFICKIEGO OJCA.

Ż Y C I E P R O W I N C J I

Z UROCZYSTOŚCI W DROHOBYCZU

W dniach 15 i 16 września br. J. E. ks. Biskup Tomaka dokonał konsekracji świeżo wykończonego kościółka w Drohobyczu. Były to chwile niezapomniane w życiu naszej najnowszej placówki.

Na uroczystość nadciągnęli ojcowie z różnych konwentów z Przew. O. Gerardem, Kom. Prow. na czele, liczne duchowieństwo i przedstawiciele władz miejscowych.

Już z dala widniała pięknie udekorowana i iluminowana fasada kościoła, a przed nim wśród kwiecia i zieleni całe morze głów — zwłaszcza dziatwy w bieli. Czekano przybycia ks. Biskupa, który miał przywieźć Relikwie Św. Męczenników. O godz. 20 wieczorem powitano Dostojnika i Święte Szczątki — Stanisława Biskupa i Katarzyny Panny-Męczenniczki. Relikwie złożone na noszach, przykrytych szkarłatną zasłoną, wzięli na ramiona czterej księża ubrani w ornaty: O. Rafał Woźniak, reformat z Przemyśla, O. Gabriel, gwardian z Oleska, O. Bolesław, gwardian z Krosna i O. Walerian ze Lwowa. Potem wśród śpiewu „Kto się w opiekę” przy blasku świateł, umajoną drogą przeniesiono Je do kaplicy SS. Serafitek, gdzie miały pozostać przez noc. Odprawiono tam jutrznię o Świętych Męczennikach.

Nazajutrz ks. Biskup odprawił Mszę św. w kaplicy przy Relikwiach, poczem zwiedził ochronkę SS. Serafitek, gdzie powitał go prezes Komitetu Ochronki, dyr. p. Kaniowski. O godz. 8 rozpoczęły się pełne namaszczenia ceremonie konsekracji. Po ich skończeniu, o godz. 11 do nowopoświęconej świątyni wprowadzono N. Sakrament, a ks. Prałat Kotula wyszedł z uroczystą sumą, podczas której J. E. ks. Biskup Konsekrator wygłosił okolicznościowe kazanie o roli Kościoła w stosunku do wiernych. Streścił

przy tem historię kościoła na Wójtowskiej Górze i podziękował jego wszystkim dobrodziejom.

Uroczyste Te Deum, błogosławieństwo arcypasterskie i hymn narodowy zakończyły te piękne chwile Drohobycza.

Czego nam trzeba?*)

Bardzo słabe jest dziś zainteresowanie się kresami i kresowcami na południowo-wschodnich rubieżach Polski. A tym mniej jeszcze zabytkami czy kulturą tych stron. Takie czasy podobno; wszędzie przysłowiowy „morsus“ czy „kryzys“ panuje!

Warto by jednak przypomnieć sobie niektóre miasta polskie, które acz należą do Polski i zamieszkałe są przez Polaków, jakoś słabą mają łączność z Narodem polskim w jego kulturze i sztuce, zwłaszcza współczesnej, a religijnej, duchowej — nade wszystko.

Jednym z bardzo ciekawych i bardzo dawnych miast polskich jest Drohobycz. Historia tego miasta sięga poza wiek XIV. Palone i niszczone przez Tatarów zostało się jednak, niby strażnica śród strażnic Ojczyzny naszej.

Malowniczo położone nad rzeczką Pobuk, dopływem Tyśmienicy, płynącej obok, mieści w sobie około 40 tysięcy obywateli. Rozbudowane po odzyskaniu niepodległości szczyci się wspaniałym ratuszem, posiada gmachy: Starostwa, Banku, Sokoła, hali targowej, sądu i inne. Pod względem architektonicznym zasługują na uwagę gmachy kultu religijnego, w pierwszym rzędzie kultu chrześcijańskiego. Najwięcej jest tu cerkwi, choć ludność obrządku grecko-katolickiego stanowi mniejszość. Otóż stoi tu siedm rusińskich cerkwi, kościołów natomiast jest dwa, przy czym drugi jest oddany do użytku dopiero przed kilkoma laty. Do tego czasu miano li tylko jeden kościół; parafialną farę zbudowaną przez świątobliwą Jadwigę i Władysława Jagiełłę. Starożytna świątynia, której gotyckie piękno zachwycało oczy Wyspiańskiego, została po napadzie Tatarów i hajdamaków Chmielnickiego odnowiona wedle współczesnej mody. Mianowicie sprawiono do niej ołtarze i urządzenia barokowe i malaturę rokokową. Natomiast nowiutki kościółek, którego mury wzrosły na rzucie krzyża, jest czysty i ubogi a przemiły — jak nowo zrodzone dziecię religijnego gotyku. Opiekują się nim oo. kapucyni (patronowie kościoła), którzy przy uprzejmej pomocy wiernych potrafią ukryć domową artystyką braki skromnego kościółka. Obecnie ma stanąć, według życzenia obywatelstwa drohobyckiego i według pragnienia pobożnych, ołtarz główny, na miejscu prowizorycznego.

Zachodzi pytanie, komu polecić wykonanie ołtarza? Orzech to nie łatwy

---

*) Zgodnie z założeniami naszego pisma, zamieszczamy głosy naszych Sympatyków z Drohobycza. Mając przekonanie, że sprawa jest rzeczywiście godna uwagi, prosimy o kontynuowanie dyskusji, ewentualnie o plany, projekty itp. *(red.)*,



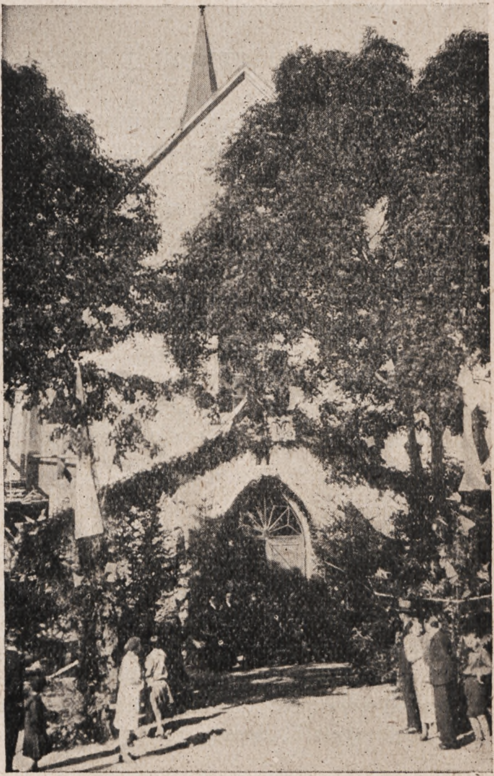
Po konsekracji

do zgryzienia. Bo trzeba mieć koniecznie to na uwadze, że aczkolwiek dzisiaj ciężko, i zdałoby się taką rzecz jak najmniejszym kosztem zrobić, bo przecież „skąpy dwa razy traci"!

Zresztą w tej sprawie, którą jest postawienie ołtarza, nie można być za szczodrym! „Wszystko, co damy, choćby było najwięcej, na chwałę Bożą, jeszcze jest za małem"!

Taka rzecz, jak wielki ołtarz powinna być dziełem prawdziwego artysty,znanego, za którym nie protekcje, ale jego własne tworzywo mówi.

Niech w tym nowo powstałym kościele będzie arcydzieło, któremu nic znaleźć równego. Ołtarz taki bowiem, prócz tego, że ma trwać lata



Kościół w Drohobyczu

— a daj Boże wieki — winien być ponad to źródłem szczerego natchnienia dla wiernych, ma być magnesem, który by przyciągał najpierw oczy, a potem serca, i składał je u stóp Bożych.

Dokonać tego może tylko wybitny mistrz, prawdziwy snycerz, nie pospolity pracownik.

Może to być — i powinien — artysta, co by dziełem swoim wyraził wszystkie nasze pragnienia, wszystkie nasze tęsknoty, całą miłość i uwielbienie wobec Boga. Musi być twórca, co natchnioną pracą swoją ma zakuć myśl i uczucie w materię, w kamień, w bryłę.

Nie można — nie wolno, aby to, co nam dać ma nastroje uniesień i łask, aby to, co nas ma natchnąć do dobroczynienia było zrobione po partacku — przez jakiego bądź magika czy kuglarza!

Musi stanąć dzieło piękne, godne tych, którzy je postawią.

Społeczeństwo Drohobycza i okolicy nie może się pokpić. Tym bardziej że będzie to dar dla Boga i manifest łączności z Jego epokowym Kościołem — pierwszy od lat wielu, od wieków prawie.

Będzie to wieczny pomnik. Dzieło dla nas i dla naszych następców. Oby pokolenia przyszłe nie powstydziły się czynu ojców swoich!

Oby Polska wśród nas, w Drohobyczu, miała perłę sztuki.

Z Nowaków Prokopowowa

Po czynach naszych poznają nas!

Kto w Krakowie w kościele Panny Marii spojrzy na oblicze umierającej Matki Chrystusowej — ten czuje że oblicze to jest prawdziwe; kto stanie przed bocznym ołtarzem Królowej Aniołów u Jezuitów w tym samym mieście, ten zlęknie się zrazu! Bo mu się zda, że czar się jakiś wobec niego iści: obaczy Przeczystą Dziewicę, Łaski pełną, w wieńcu wielbiących Ją Aniołów. Ale wnet szczęście niewysłowione, obejmie go gorące: ujrzy jakby zjawę żywą w glinie ziemi wyczarowaną.

I jedno i drugie widzenie zdolne jest wstrząsnąć nami, poruszyć nas, kolana nasze do ziemi przykuć.

Dlaczego i jedno i drugie działa tak mocno i tak wzniośle? Bo i ta Madonna Mariacka i ta Królowa Anielska są łaskawym objawieniem się artystom, co łaskę bożą mieli — modląc się tworzeniem posągu Matki Boga-Człowieka.

Drohobycz ma kościół pod wezwaniem M. B. Niepokalanie Poczętej. Niedawno stanęły mury. Sklepienie gwiaździstym z kamienia namiotem nakrywa prezbiterium. Nad menzą, w zieleni stoi malutka figurka Patronki. Wyszła ta figurynka gdzieś z fabryki, co całe serje podobnych wyrabia. I żal, i boleść, i wstyd mię goryczą przejmuje. Czyż to nie mogą zdobyć się na lepsze wyobrażenie marzenia i tęsknoty mej biednej, ludzkiej, sierocej duszy? Czyż to ja z braćmi mymi i z siostrami, z bliźnimi moimi, nie możemy się postarać o statuę Pocieszycielki naszej, godnej Jej ku nam i naszej ku Niej miłości!?



K. HUKAN *MADONNA*

O, gdyby spojrzeć raczyła najdobrotliwszą swoją twarzą w twarze nasze! Gdybyż to na przeczyste naturalnej wielkości lico Niepokalanej Matki-Dziewicy spojrzały moje oczy, i widziały w kamieniu — lico Tej, co żyła z nami, na ziemi...! gdybyż...!

„Otom tu jest, przed tobą, przed wami. Zawsze wam wierna Matka. Nie bójcie się i nie wstydźcie się mnie. Znam was wszystkich — w waszych grzechach — w waszych cnotach. Jak Syn mój kocham was. Pragnę szczęścia dla was. Jako i On, co za was Mnie poświęcił — pod krzyżem, gdy umarł za Prawdę. Pójdźcie ku Mnie strapieni, oszukani, spodleni. Z ufnością przystąpcie z ufnością! Ufajcie — a będziecie mądrzy i szczęśliwi. Patrzcie, Jam żyła śród was — kość kości waszej, krew krwi waszej. I jam cierpiała. Ja — Matka Boga! Ufajcie i wierzcie Mi, a pomnijcie. I Jam żyła śród was. A teraz Duch mój w Ciało Przemienieniem — pociesza Was — biednych i opuszczonych, synów i córki, braci i siostry moje! I nie opuszczę was — nigdy — aż po koniec świata“....

O, niejeden z nas serca skurcz nieopisany by uczuł i łkanie radości i żalu, miłości, tęsknoty... Na przeczystą, naturalnej wielkości Twarz Niepokalanej oczy by patrzały, i widziałyby w kamieniu zaklęty cud: portret Tej, która przez ręce zbożnego tworzyciela — mistrza, raczyła się nam ukazać! Ona — tęsknota serc naszych, Ona — Matka matek naszych, Ona — co żyje wreszcie śród nas, w duszach naszych, w oczach naszych wypatrujących Jej w czarownym utęsknieniu duszy artysty: w portretach, w statuach, w posągach...

Twórca „Królowej Aniołów“ Karol Hukan jest religijnym rzeźbiarzem. Lwowianin pracujący w Krakowie, cichy a sławny, pokorny a wielki — nie filozofuje — ale tworzy*).

Obecnie spod jego rąk wyłania się w jego pracowni ubogiej krucyfiks. Rozpięty Chrystus, wielkości naturalnej, jak prawdziwy. Pójdzie do Warszawy. Tam w kościele św. Aleksego na Pradze zawiśnie nad ołtarzem.

A gdy ktoś spojrzy nań, gdy ujrzy twarz bolesną Pana, co tak za nas umiera: wzruszony — padnie na ziemię, i poczuje wstyd palący: Nic dla tego Chrystusa, co umarł za ludzi, moich braci, nie uczyniłem!

Drohobycz tęskni za wyobrażeniem Matki Chrystusa na ołtarz w kościółku na Wójtowskiej Górze. OO. Kapucyni, SS. Serafitki, wielu wiernych pragnie ujrzeć piękną naturalną postać Pani naszej. Pragną chyba wszyscy. Pomogą wszyscy — wymodlą nie tylko życzeniem, ale i ofiarą, ale i czynem — statuę Madonny, co przetrwa wieki.

Niechaj więc stanie posąg Bożej Matki. Niech trwa przez pokolenia. Niech w skromnych murach statua stoi. Jedna, ale wielka. Wielka swoim wyrazem. Potężna treścią! Postawmy pomnik wieczysty, niewzruszony, mocny jak wiara nasza i piękny jak miłość nasza! Jak miłość, co zrodziła Zbawiciela. Co odradza nas w Najświętszej Ofierze Sakramentu. — Pomnijmy: po czynach naszych poznają nas, co po nas przyjdą! I — nie zapomną! Albowiem pomnik Patronki naszej — naszym będzie nagrobkiem.

Drohobyczanin — historyk sztuki

O sztuko, wiecznej tęczo Jerozalem,
Tyś jest przymierza łukiem po potopach
Historii: tobie gdy ofiary palem,
Wraz się jagnięta pasą na okopach...
Ty wtedy skrzydła roztaczasz, złocone
W świątyni Pańskiej oknach szyb kolorem,
Jakby litanie, cicho skryształone,
Co na aniołów czekają wieczorem.

C. NORWID (PROMETHIDION).

*) Reprodukcje prac K. Hukana zamieszczamy jako wysokowartościowy wzór sztuki kościelnej; w najbliższym numerze „Marchołta“ ukaże się obszerny artykuł o tym mało znanym ale godnym poznania, prawdziwie natchnionym twórcy.



K. HUKAN — M. B. ZWYCIĘSKA

NASZE MISJE

SERAFICKIE DZIEŁO MISYJNE

Jest dowodem niezwykłych sił tkwiących w Boskiej Instytucji Kościoła, że nawet w czasach największych prześladowań nie ogranicza się tylko do akcji obronnej, ale usiłuje rozszerzyć swe domeny i na zewnątrz, niosąc Imię Chrystusa tam, gdzie Go jeszcze nie znają. Właśnie dziś, kiedy zdają się realizować apokaliptyczne wizje walki ze smokiem, kiedy biją „Dzwony na trwogę“ przed zalewem komunizmu i bezbożnictwa, Oblubienica Chrystusowa zwraca oczy na krańce świata chrześcijańskiego, gdzie w trudzie pracują zastępy misjonarzy i wszystkich zachęca do współpracy z nimi.

Że te wołania znajdują przychylny odgłos u wiernych, świadczy choćby statystyka ofiar zebranych na cele misyjne w ciągu ubiegłego roku. Według ostatnich sprawozdań katolicy złożyli w tym czasie na misje 40 milionów lirów za pośrednictwem Dzieła Propagandy Wiary, 6 milionów i pół za pośrednictwem Dzieła św. Piotra Apostoła dla duchowieństwa tubylczego; 12 milionów za pośrednictwem Dzieła św. Dziecięctwa Jezusowego. Cyfry te są tym bardziej wymowne, że przypadają na okres poważnego kryzysu ekonomicznego na całym świecie.

Aczkolwiek bardzo znaczne, są jednak te kwoty zbyt małe, by mogły zaspokoić rzeczywiste potrzeby, i dla tego katolickie narody świata winny podwoić swą pomoc, by skutecznie wesprzeć misjonarzy, to frontowe wojsko chrześcijańskie.

Każda inicjatywa podjęta w tym kierunku zasługuje na jak najgorętsze poparcie.

Zakon Kapucynów, podejmując myśl Założyciela, poświęcił wiele energii szerzeniu idei misyjnej. Z jego łona wyszedł pierwszy

męczennik Propangandy, św. Fidelis z Sigmaringen, a później Patronowie Abisynii Kasjan i Agataniol; szczyci się on postacią wielkiego kardynała Massaia i świątobliwego biskupa Anastazego Hartmana; on też wysyła dziś szeregi swych synów na 49 placówek misyjnych we wszystkich częściach świata.

Ale prócz tej czynnej współpracy w dziele rozkrzewiania wiary, której omówienie wymaga obszerniejszego traktowania, ta najmłodsza gałąź franciszkańska podjęła jeszcze akcję innego rodzaju.


BŁ. BŁ. KASJAN I AGATANIOŁ
Misjonarze Kapucyni

W r. 1899 zostało założone w Lucernie, w Szwajcarii „Serafickie Dzieło Mszy Świętych” dla popierania misyj zakonnych. Ma ono za zadanie wciągnąć do pracy misyjnej jaknajwięcej ofiarnych dusz, dla których nie jest obojętne zbawienie „siedzących w ciemnościach i cieniu śmierci” nieszczęśliwych pogan; polega zaś na wymianie wzajemnych świadczeń pomiędzy wiernymi a członkami Zakonu. Członkowie „Dzieła” zobowiązują się do pewnej ofiary rocznej — albo większej jednorazowej; Zakon zaś odprawia za nich w ciągu roku pewną ilość Mszy św. i ofiaruje na ich intencję liczne Komunie św. Dobrodziejstwo uczestnictwa w „Dziele Misyjnym” jest tym większe, że Msze św. można ofiarować też za drogich zmarłych, a ponad to przywiązane są do niego liczne łaski i przywileje. Inicjatywa kapucynów szwajcarskich spotkała się z gorącym poparciem nietylko władz zakonnych, ale i najwyższej Instancji w Kościele. Ojcowie Święci: Leon XIII, Pius X, Benedykt XV i obecny Pius XI wyrażali się o „Dziele” z największym entuzjazmem i po wielekroć darzyli je apostolskim błogosławieństwem.

Dziś prawie we wszystkich Prowincjach przynosi „Dzieło” obfite owoce.

W tegoroczną „Niedzielę Misyjną” zostało zaprowadzone „Serafickie Dzieło Mszy św.” w Krakowie. Na krużgankach loretańskich urządzono akademię, której celem było natchnąć duchem misyjnym licznie zgromadzonych wiernych. Z gorącym słowem zachęty wystąpił były Prowincjał O. Marian; poczem O. Czesław z Haczowa, również były Zwierzchnik Prowincji wygłosił referat o misjach kapucyńskich. Nawiązując do wiekowej pracy Zakonu na niwie misyjnej Przew. Prelegent przedstawił istotę „Serafickiego Dzieła Mszy Św.” i potrzebę jego krzewienia w dzisiejszych czasach. Warunkiem członkowstwa jest roczna ofiara 1 zł, lub jednorazowa 25 zł. W zamian za to odprawia się w ciągu roku 5000 Mszy św. i ofiaruje bardzo liczne Komunie św. za członków. Ponadto uczestniczą oni w owocach dobrych uczynków wszystkich kapucynów.

Owocem akademii, na której program złożyły się — oprócz przemówień, — produkcje chóru kleryków i piękna deklamacja młodziutkiej Tercjarki, było pozyskanie dla „Dzieła” kilkuset członków. Oby przybywało ich coraz więcej!

NOWY BISKUP KAPUCYN. Prowincja Lombardzka obchodziła niedawno podniosłą uroczystość konsekracji biskupiej jednego z swoich członków. Dotychczasowy Prowincjał, O. Jan Chryzostom Marinoni został zamianowany Wikariuszem Apostolskim Erytrei w miejsce ustępującego na własną prośbę O. Celestyna Cattaneo, który pełnił ten zaszczytny ale ciężki urząd przez długi szereg lat, a ostatnio w uznaniu zasług tam położonych, uzyskał godność tytularnego arcybiskupa Sebastopola. Dostojny ten mlecznobrody starzec przybył z Afryki dokonać konsekracji swego następcy. W uroczystości uczestniczył też N. O. Generał Wigiliusz z Valstagna, liczne grono braci zakonnych i niezmierne tłumy wiernych, wśród których nowy Biskup przez długi czas pracował. J. E. Biskup Marinoni będzie kontynuował pracę misyjną na polu uświęconym krwią męczeńską Bł. Agataniola i Kasjana oraz trudami kardynała Massai. Opuszcza ojczyznę z końcem października,

MUZEUM KARDYNAŁA MASSAIA. Ostatnie wypadki w Abisynii sprawiły, że ze szczególnym zainteresowaniem zwrócono uwagę na monumentalną postać apostoła Etiopii, kardynała Wilhelma Massaia. Ciekawość obudza zwłaszcza muzeum pamiątek po tym wielkim mężu, mieszczące się w cichym klasztorze oo. kapucynów we Frascati. Zajmuje ono izdebkę, gdzie na życzenie Leona XIII kardynał pisał swe dzieło „I miei trentacinque anni di Etiopia“ (Moich 35 lat w Etiopii) i gdzie w dniu 8 sierpnia 1889 r. dokonał żywota — oraz kilka przy-

ległych pokojów. Jest w tym muzeum twarde wąskie łoże, na którym spoczywał, jest ubożuchne biurko, przy którym zdążył napisać dwanaście tomów swego wspomnianego dzieła, jest nie mniej ubogi fotel, w którym zamknął oczy na wieki, są wreszcie liczne pamiątki związane z jego trzydzieści pięć lat trwającym pobytem w Abisynii. Na czoło tych pamiątek wysuwa się przede wszystkim prosta laska, z którą się kardynał Massaia nigdy w ciągłych swych wędrówkach po Abisynii nie rozstawał i która towarzyszyła mu — wbrew obowiązującym przepisom — nawet w pokojach Watykanu, gdy przybywał tu „ad limina“. Są w muzeum liczne dary, jakie otrzymywał od władców i ludności abisyńskiej, zwłaszcza sandały, które dawano, aby „Abuna Massias“ — jak go nazywano — wygodniej odbywać mógł swoje wędrówki; jest bizantyjski wizerunek N. M. P. na drzewie cedrowym, przed którym w wędrówkach tych późniejszy kardynał modlił się. Piękny zbiór rękopisów etiopskich, liczne okazy sztuki i folkloru abisyńskiego, ciekawa korespondencja, m. in. listy Menelika z wyrazami hołdu dla „Abuny”, różne naczynia liturgiczne i krucyfiksy, wiele innych ciekawych przedmiotów i pamiątek uzupełniają to niewielkie lecz ciekawe i wzruszające swym charakterem muzeum.

NASI ZA GRANICĄ

MÓDLMY SIĘ ZA BRACI W HISZPANII. Klasztory naszej Prowincji Iberyjskiej dzielą straszny los wszyskich innych zgromadzeń zakonnych na nieszczęśliwym Półwyspie. Około 25 konwentów leży w gruzach lub padło pastwą płomieni. Wszyscy ich dotychczasowi mieszkańcy tułają się w przebraniu rozproszeni, niepewni dalszych losów. Wielu cierpi w więzieniach; a ilu już nie cierpi, bo życie oddali za wiarę, nie można jeszcze ustalić wobec utrudnionej komunikacji. Najprzew. O. Generał bolejąc nad tym stanem, wezwał wszystkich do modłów na intencję nieszczęśliwych. W każdym konwencie mają być odmawiane codziennie przepisane modlitwy; prócz tego, we wszystkich kościołach kapucyńskich urządzi się specjalne nabożeństwa dla wiernych — zwłaszcza tercjarzy i bractw — w celu przebłagania Boga za zniewagi i świętokradztwa oraz uproszenia pokoju w Hiszpanii za przyczyną Niepokalanej, Św. O. Franciszka, Św. Wawrzyńca z Brundusium i Bł. Dydaka z Kadyksu, Patrona tego kraju.

Tę zachętę powinniśmy tym goręcej przyjąć, że w samym ośrodku piekła komuny — Madrycie — przebywał w chwili wybuchu rewolucji nasz polski przyjaciel, profesor Uniwersytetu katolickiego O. Laureano Martinez, o którego losach nie mamy dotychczas żadnej wiadomości.

NOWICJAT W LUBIESZOWIE. Prowincja kapucyńska obrządku wschodniego na terenie diecezji pińskiej uzyskała pozwolenie na założenie nowicjatu w Lubieszowie. Ojciec św., który jak wiadomo sprzyja w szczególniejszy sposób pracy unijnej, przychylił się chętnie do prośby zaniesionej w tej sprawie, a ponadto wszystkim kapucynom pracującym nad zwalczaniem schizmy udzielił specjalnego błogosławieństwa.

PATRON POETÓW. Pięknym dowodem odrodzenia ducha poezji włoskiej jest proklamacja, mocą której poeci zgromadzeni na zjeździe w Neapolu, ogłosili swym protektorem śpiewaka „Hymnu do słońca“ św. Franciszka z Asyżu. Godnym uwagi jest, że myśl tę poddał nie żaden egzaltowany poeta, ale sławny profesor Guglielmo Della Rocca.

W ten sposób Włochy poszły śladem Flancji, która już dawno przed tym uznała św. Franciszka Patronem poetów. A kiedy przyjdzie kolej na Polskę?

PSYCHIATRIA NA USŁUGACH DUSZPASTERZA. Znany kapucyn niemiecki, autor cennych rozpraw: „Unsere Lebensideale und die Kultur der Gegenwart“, O. Jan Chryzostom Schulte zainteresował opinię problemem wzajemnego stosunku między duszpasterstwem a psychiatrią, poruszonym na dorocznym zebraniu katolickiego stowarzyszenia ochrony zdrowia publicznego w Utrechcie.

Na życie ludzi dzisiejszych — twierdził o. Schulte — nerwy wywierają wpływ tak przemożny, że błędem nie do darowania byłoby niedostateczne uwzględnianie tego czynnika przy pracy duszpasterskiej. Nowoczesny duszpasterz — i to nie tylko ksiądz katolicki, ale i pastor protestancki — musi dobrze orientować się w wielu sprawach psychiatrii, w szczególności zaś w psychopatologii. Kapłan, który by nie miał zrozumienia dla objawów neurologicznych i psychopatycznych, szkodziłby zarówno swojej misji duszpasterskiej, jak i utrudniał pracę lekarzowi-psychiatrze. Oczywiście, kapłan nie może przyjmować roli lekarza, podobnie jak lekarz nigdy nie zastąpi duszpasterza, obaj jednak doskonale mogą i powinni obok siebie ręka w rękę pracować.

Nie można w każdym penitencie dopatrywać się psychopaty, histeryczki lub nerwowo chorego osobnika, dobry spowiednik odróżnić musi psychopatę od tylko nerwowego, a dalej takiego, który panuje nad swymi nerwami od całkowicie nie opanowanego, wreszcie orientować się, czy istnieje i w jakim stopniu u danego osobnika odpowiedzialność za czyny. To wszystko znakomicie ułatwia spowiednikowi znajomość chorób psychicznych i nerwowych.

Interesujący swój wykład ilustrował O. Schulte licznymi przykładami z własnej praktyki duszpasterskiej, które na słuchaczach wywarły niezmiernie silne wrażenie.

CUI BONO? Od jakiegoś czasu w pismach periodycznych ukazują się wzmianki o O. Efremie z Kcyni, jako o „słynnym ze swej działalności artystycznej franciszkaninie“. Czyżby nie wiedziano, że jest on polskim kapucynem? Dziwić się należy, że nawet tak poważne źródło komunikatów prasowych, jak K. A. P. toleruje to niedopatrzenie. Nie leży to zapewne na linii interesów O. Efrema.

N O T A T K I B I B L I O G R A F I C Z N E

Michalina Janoszanka. Wielki Tercjarz — moje wspomnienia o Jacku Malczewskim. Kraków 1936.

Mimo różnych zdań uczonych musi być coś prawdy w twierdzeniu, że sztuka i religia to rodzone siostry, kiedy tezę tę potwierdza największy mędrzec — życie. I to nietylko średniowieczne życie Fra Angelików czy Lionardów, którzy tworzyli na kolanach, w modlitewnej ekstazie. Kiedy mówi się, że sztuka wyrasta z najgłębiej utajonych, mistycznych, stanów duszy, nie odnosi się to wcale do religijnej tematyki utworów. Malczewski jest artystą nawskroś religijnym, nie dlatego, że z największym zamiłowaniem odtwarzał rysy Chrystusa i Świętych; że sztukę swą przeanielił i przebóstwił; — ale że sztuka była dla niego modlltwą, i płynęła z głębi duszy pełnej umiłowania Najwyższego Piękna. „Trzy są drogi dla udoskonalenia ducha i zbliżenia tegoż do tronu Boga: Droga modlitwy, Droga miłości i Droga wiedzy (czyli poznanie prawdy. Na drodze miłości jest szlak sztuki. Tym szlakiem idąc, dochodzimy bliżej do poznania wszechpotęgi Stwórcy, z wolą się Jego łacniej jednoczymy. Śpiewamy bowiem my artyści „Magnifikat" na widok dzieł stworzonych przez Boga na ziemi i we wszechświecie".

Byłoby wdzięcznym zadaniem śledzić, w jaki sposób artysta realizował ten program w poszczególnych utworach i całych etapach twórczej drogi. Ale taka subtelna analiza nie mieści się w ramach nawskróś osobistych wspomnień, jakie pełną garścią daje nam p. Janoszanka; nie można więc mieć pretensji do autorki, jeśli utrzymuje się raczej na powierzchni życia Mistrza, rzadko tylko sięgając w głąb. Dzięki takiej metodzie „Wielki Tercjarz" staje się nam osobą znajomą i bliską. Czy nie za bliską nawet? Zdaje się, że pewien dystans powinien być zachowany. Dusza twórcza posiada zakamarki, w które nawet najbardziej spoufalonych niechętnie wprowadza... Zresztą i u wielkich ludzi nie wszystko jest godne uwiecznienia. Co innego w intymnym pamiętniku, ale takie nie zawsze warto drukować. Zwłaszcza jeśli biografia — może mimo woli — przekształca się w autobiografię. W każdym razie postać Malczewskiego — nawet w tak uproszczonej formie — jest dobrą ilustracją słów Bremonda, że poeta (a więc każdy artysta, bo obojętne jest, czy narzędziem twórczym jest słowo, dźwięk czy barwa) jest świętym zgubionym w pół drogi. Od niego samego zależy, czy tę drogę odnajdzie.

I inną jeszcze uwagę nasuwa „Wielki Tercjarz". Jeśli człowiek o tak wysokiej kulturze duchowej znalazł zadowolenie w instytucji franciszkańskiej, to musi w niej niezawodnie tkwić jakieś niepospolite piękno i czar, zdolny zachwycić szlachetnie nastawione umysły. Malczewski obok Brata Alberta, z którym jest duchowo spokrewniony, stanowi mocny argument przeciw zarzutom obskurantyzmu stawianym tercjarstwu.

Należy się wdzięczność autorce, że nam przypomniała tę wyjątkową w naszych czasach postać. *S. K.*

Kardynał Massaia, Kapucyn według *W. Gentilego*. Krosno 1936. Zasłużona dla misyj Sodalicja św. Piotra Klawera, która w myśl swej Założycielki ma za zadanie słowem i pismem budzić współczucie dla biednych czarnych pogan, wydała ostatnio krótki a ciekawy żywocik apostoła Abisynii. Książeczka mimo swej bezpretensjonalności zaleca się ciekawą treścią i godna jest rozpowszechnienia. Jest to polskie, skrócone opracowanie dzieła ks. Wawrzyńca Gentilego.

Z czasopism:

Analecta Ordinis Min. Cap. 15 Oct. przynoszą przemówienie Ojca św. do biskupów, kapłanów, zakonników i wiernych wygnanych z Hiszpanii. Są to prawdziwie ojcowskie wyrazy współczucia, pełne apostolskiej troski o dziedzictwo Chrystusowe; słowa nabrzmiałe wzruszeniem, ale zarazem pełne mocy ufnej w pomoc Bożą. Wypadki hiszpańskie są dla Europy szkołą, w której powinna się nauczyć, że tylko religia zdolna jest przywrócić zachwiany u samych podstaw pokój. Per crucem ad lucem — kończy więc Ojciec św.

Tenże numer zamieszcza obszerny nekrolog śp. O. Zenona.

Italia Francescana. Tivoli. Luglio-Agosto 1936, podaje włoski przekład dziełka Jezierskiego „Za wiarę i wolność“ o polskim kapucynie powstańcu Maksymie Tarejwa. Przekładu dokonał O. Józef da Brà, który już przed tym zamieścił w tymże piśmie ciekawy artykuł o najwybitniejszych kapucynach polskich ostatniej doby.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

Redaktor: O. Serafin Kaszuba

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Loretańska 11.

„WZLOT SERAFICKI“ WYCHODZI SZEŚĆ RAZY W ROKU W ODSTĘPACH DWUMIESIĘCZNYCH. ROK REDAKCYJNY LICZY SIĘ OD WRZEŚNIA.

PRENUMERATA: ROCZNA 3 ZŁ. — PÓŁROCZNA 1·50 ZŁ. — NUMER POJEDYNCZY 50 GR.

TREŚĆ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

KRAKÓW — UL. LORETAŃSKA 11.